Nr. 247. Lwów — Sobota dnia 27 Października. Rok 1894.

Wychodzi w dni powszednie o godz. 4. po południu.
NUMER KOSZTUJE we Lwowie 4 ct., na prowincyi 5 ct.
Numera z poprzednich miesięcy po 10 ct.
„Przegląd" jest do nabycia we Lwowie w obu Biurach sprzedaży dzienników i we wszystkich większych trafikach.

PRZEGLĄD
POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

[illegible]

Dziś: św. Sabiny | Eufymya
Jutro: G. 24 po Św. | N. 19 po Sosz.
Adres Redakcyi i Administracyi Ulica Sykstuska l. 45
Naczelny Redaktor i Wydawca: Ludwik Masłowski.
Wschód słońca g. 6 m. 43, Zachód g. 4 m. 42
Długość dnia g. 9 m. 59, Ubyło dnia od wczoraj 4 m.

Upraszamy o wczesne odnawianie prenumeraty.

Wynosi ona miesięcznie 1 zł. 10 ct. Kto przyszle tylko 1 zł — temu pieniądze będą zwrócone.

Przegląd polityczny.

Lwów 26 października.

Niepolityczna gadanina paru gazet polskich o rzekomo ostatecznym celu naszej pracy i wszystkich myśli wywołała znowu kwestyę polską — na stronnice niemieckich dzienników. Na ten temat napisały one ogromnie dużo pospolitej, aż do przesytu znanej sieczki, wylały całe morze żółci i usypały góry nowych podejrzeń. To wszystko razem z tem, co Bismark naprawił do dwóch ostatnich pielgrzymek, stworzyło ogromny chaos w niemieckich głowach, które znowu nie wiedziały co myśleć o stosunku państwa do Wielkopolski i jakiej chcieć polityki: dawnej bismarkowskiej, czy tej nowej, o której tem więcej wrzasku, im mniej ma się o niej pojęcia. Nareszcie zabrał głos znany publicysta, redaktor miesięcznika *Preussische Jahrbücher* i dawny przeciwnik bismarkowskiego systemu, profesor Delbrück. Wśród powodzi trywialnie płytkich, a tylko bardzo zjadliwych artykułów, spora broszura Delbrücka jest czemś tak nowem, świeżem i do pewnego stopnia bezstronnem, że z niej i my możemy czegoś się nauczyć. Więc ją streścimy, — raczej uwydatnimy główne jej punkta.

Zdaniem autora, nieprawdą jest, że Polacy mogą spolszczyć cały wschód monarchii i w ten sposób narazić jej przyszłość na niebezpieczeństwo. Straty niemczyzny na wschodzie są tylko lokalne, wywołane tem, że ścigani Polacy łączą się dla obrony, rozwijają w sobie wielką solidarność i odporność, a Niemcy, którymi rząd zanadto się opiekuje, wcale nie dbają o siebie. Polacy wprawdzie szybciej się rozmnażają niż Niemcy, ale tłumnie emigrują nad Ren, do Saksonii i Westfalii, tam wprawdzie tworzą osobne polsko-katolickie parafie, lecz z biegiem czasu nieuchronnie się wynarodowią, jak się wynarodowiły niegdyś zamknięte w sobie gminy hugenotów francuskich. Ta cicha germanizacya Słowian, zanurzających się w niemieckie ziemie, sprawiła to, iż od 1861-go do 1890 roku liczba Niemców wzrosła w Prusach o $62^1/_2$ proc., a liczba Słowian tylko o $29^1/_2$ proc. W dzielnicach wschodnich nie liczba Polaków, lecz ich duch narodowy, rozjątrzony prześladowaniem, przedstawia wielką siłę, opierającą się germanizmowi. Jeśli jednak rozumna polityka ukoi namiętności, to i na wschodzie pocznie niemieckość górować nad polskością. A tą rozumną polityką jest — znieść wszystkie wyjątki, komisyę kolonizacyjną, uczyć po polsku w szkołach, słowem traktować Polaków jak dobrych obywateli, nie drażnić ich uczuć patryotycznych, nie rzucać ich prześladowaniem w objęcia agitatorów. Dotychczas postępowano wbrew odwrotnie. Mówiono wprawdzie, że tylko szlachta i duchowieństwo marzą o Polsce, chłop zaś jest zupełnie oddany pruskiemu państwu. A jednak tylko niemieckim gburom sprzedawano kolonie i to za połowę wartości. Agitator polski mówił tedy chłopom: „Piękne są te kolonie, wykupione u panów, ale nie dla was; wprawdzie jesteście wiernie oddani królowi pruskiemu, leoz te tłuste kąski on przeznacza tylko swoim Niemcom". Jeszcze gorzej ze szkołą. Polski chłop i mieszczanin chce, aby jego syn umiał po niemiecku, bo wie, że z tem będzie mu lepiej, leoz teraźniejszy system szkolny budzi gniew w rodzicach, obraża ich poczucie godności ludzkiej, bo wyraźnie im powiada, że oni są jakąś niższą, skazaną na wytępienie rasą. Stąd naturalny opór przeciw niemieckiemu językowi i opór ten idzie dalej, niżby chcieli sami Polacy. Taki system musiał zmniejszyć lojalność ludu polskiego względem pruskiego państwa. Bismark to wytyka i doradza gnębić aż do wytępienia, kiedy tymczasem raczej dziwić się trzeba cierpliwości polskiej i uważać to za dowód wielkiej roztropności Polaków, że są lojalni i wybierają posłów, którzy stale rząd popierają. Ale tak długo trwać nie może; wyczerpie się największa cierpliwość, lojalność pryśnie.

Zdaniem Delbrücka, już ona słabnie. Zrozpaczony naród zaczyna szukać sobie innej skały, o którąby się oparł i tę skałę znajduje — w panslawizmie. Pełen poczucia swej indywidualności, która jest dumną i wielką, naród polski, jedyny wśród słowiańszczyzny, dotąd się opierał panslawizmowi, nie chciał w nim się rozpłynąć, a zresztą tyle ucierpiał od rosyjskiego knuta, że ze wstrętem odwracał się od moskwicyzmu. Szlachta i duchowieństwo i teraz jeszcze wyznają ideały zachodnie, ale lud, gnębiony systemem bismarkowskim, poczyna nasiąkać panslawizmem. Tak właśnie powstał w ostatnich czasach rozdział w społeczeństwie polskiem, utworzyło się stronnictwo ludowe i „partya dworska". Choć walka [illegible] jednej [illegible] demokra[illegible], co [illegible] tego rozdwojenia: drobne mieszczaństwo i chłop zaczynają oswajać się z myślą o panslawizmie, jako z obroną od germanizacyi, a [illegible] obojętny in[illegible]nia, a szlachta i duchowieństwo patrzą na to z odrazą i boleścią. Inaczej być nie może, bo panslawizm — to prawdziwy nihilizm. Dlatego w ostatnich czasach szlachta [illegible] czyniła tak rozpaczliwe wysiłki, aby skłonić rząd pruski do zmiany systemu; dlatego z wyborów [illegible] wybór posłów przychylnych rządowi [illegible] trzyma tendencye panslawizmu, ale już znowu podnosi się opozycya, bo system bismarkowski popiera rozwój panslawizmu.

Z tego wynika — konkluduje Delbrück — że kiedy Bismark wykazuje na szlachcica i księdza, jako na zaklętych wrogów państwa, to składa dowód dziwnej ślepoty. Jużci bowiem lepiej Prusom mieć we wschodnich prowincyach ludność czysto polską, ale państwu życzliwą, aniżeli mieć ludność nienawidzącą państwa i wzdychającą do Rosyi.

„Na tem mógłbym skończyć — pisze Delbrück — nie chcę jeszcze kilka słów powiedzieć o zarzucie, czynionym Polakom, jakoby myślą jeno o odbudowaniu Polski. Czy to prawda, czy fałsz, to nie zmienia w moich zapatrywaniach na konieczność zmiany systemu rządowego w prowincyach wschodnich. Bez [illegible] Polaków [illegible] nie dzieje [illegible] się do[illegible] myśleć. Ale nawet już rosyjscy publicyści przyznają, iż Polacy stali się tak praktyczni, że nie myślą o walce z trzema potężnemi mocarstwami. Więc ich nadzieje byłyby tylko nadziejami, gdyby nie to, że one mocarstwa stoją przeciwko siebie z nabitą bronią. Jeśli wojny nie będzie, a Polacy nie myślą walczyć, to nie ma o czem mówić. A jeśli będzie, to usposobienie Polaków nie jest rzeczą obojętną, a to zarówno na wypadek naszej przegranej, jak wygranej. Jeśli przegramy, to Polacy [illegible] pansławistyczni, będą stanowili dopełnienie naszej klęski. Jeśli wygramy, a jak powiedziano [illegible] na wschód i musimy się zasłonić od Rosyi dyszącej zemstą, przeto [illegible] polskiego państwa [illegible] dalekie [illegible] pod berłem habsburskiem z Galicyi i Polski rosyjskiej. Prusy [illegible] w szkole [illegible] i tak mądrze umieją się zachować, iż z pewnością pogodzą się z ni zupełnem zjednoczeniem narodowem, jak austryaccy Niemcy godzą się z tem, że nie należą do Niemiec. Idzie tylko o to, czy pruscy Polacy nie ujrzą w tem nieznośnej krzywdy, że pozostaną zewnątrz swego narodowego państwa. Otóż przychodzimy do tego, że jeśli naszym Polakom będzie zupełnie dobrze w Prusach, że jeśli oni dadzą nam wierność, a my im całe prawa narodowe, to o granicę naszą możemy być spokojni".

Delbrück tak kończy: „Dzisiejsza chwila stanowi wielki moment dla Polaków i dla nas także i wreszcie dla przyszłej polityki europejskiej. Nasza opinia publiczna zrozumiała toruńskie przemówienie cesarza jako zboczenie od dotychczasowej polityki. Od Polaków zależy, aby to zboczenie było szczeblem wyższym: jeśli się bezwarunkowo uznają za pruskich poddanych, to spełni się przyrzeczenie cesarskie: „mogą liczyć na królewską łaskawość i życzliwość w tym samym stopniu, co Niemcy".

Tyle słów Delbrücka. Pozostaje zapytać go: co jest „bezwarunkowem" uznaniem się za poddanych pruskich? Wielkopolanie tak hojnie przelewali krew na polach bitew, toczonych przez Prusy, że ich za to osobno chwalono; powstań, ani zaburzeń bodaj najlżejszych nie robią, podatki płacą, rekruta dają, prawom ulegają, posłów wybierają przychylnych państwu. Jeżeli to się nie nazywa być dobrymi poddanymi, to już zgoła nie wiemy, co się nazywa. I jeżeli Prusy wymagają od Wielkopolan jeszcze czegoś jako zadatku za „wyższy szczebel", to się obawiamy, że toruńskie przyrzeczenie cesarza pozostanie na zawsze — toruńskim piernikiem.

O Agenorze hr. Gołuchowskim piszą z Bukaresztu do *Gazety kolońskiej* co następuje: Dnia 14 b. m. wręczył Agenor hr. Gołuchowski na zamku w Sinaia królowi Karolowi swe listy odwołujące. Wiadomo, że część prasy węgierskiej rozpoczęła niedawno przeciw hr. Gołuchowskiemu dość gwałtowną kampanię, zarzucając mu, że nie dość energicznie bronił interesów Austro-Węgier w Rumunii i że wobec ligi kulturnej i tutejszych studentów zbyt długo odgrywał rolę obojętnego widza. Oświadczenie wszelako, złożone przez hr. Kalnoky'ego w delegacyi węgierskiej, dowodzi, że hr. Gołuchowski, nie przypisując zbyt wielkiej wagi hałaśliwym demonstracyom tutejszych studentów i ligi kulturnej, działał w zupełnej zgodzie z wiedeńskiemi sferami rządowemi. Godzi się przyznać, że ustępujący poseł podczas swej przeszło siedmioletniej służby dyplomatycznej na trudnym posterunku bukareszteńskim położył wielkie zasługi około utrzymania dobrych stosunków między Rumunią a monarchią habsburską. Żyjąc w ścisłej przyjaźni z byłym posłem niemieckim w Bukareszcie Bernardem Bülowem, obecnym ambasadorem przy Watykanie, przyczynił się hr. Gołuchowski wspólnie z nim niemało do tego, że nawet tacy starokonserwatyści rumuńscy, jak dzisiejszy minister spraw zagranicznych Al. Lahovary, którzy dawniej zbliżenie się Rumunii do trójprzymierza uważali za niezgodne z politycznymi interesami swej ojczyzny, dziś uznają, że zalecana przez nich przedtem polityka wolnej ręki jest tylko fantomem, którego urzeczywistnienie wciągnęłoby Rumunię w sferę interesów rosyjskich ku jej własnej zgubie. Przez małżeństwo swoje z księżniczką Murat spokrewniony z królewskim domem rumuńskim, miał hr. Gołuchowski na dworze tutejszym wpływ o wiele większy, aniżeli którykolwiek z jego poprzedników; to też tem większy zaszczyt przynosi mu jego roztropność i umiarkowanie okazane w peryodzie tak wzburzonych namiętności, gdzie każdy zbyt dorywczy krok dyplomatyczny mógł albo zakwestyonować dalsze trwanie dobrych stosunków między Austro-Węgrami a Rumunią, albo też być dla rządu rumuńskiego wielce niebezpiecznym. Tutejsze sfery rządowe, które z prawdziwym żalem żegnają hr. Gołuchowskiego, oceniają tę okoliczność o wiele sprawiedliwiej, aniżeli delegacya węgierska."

Zaburzenia w Pirano.

Piszą nam z Wiednia 25 października.

Ludność włoska austryackiego Pobrzeża nagle ocknęła się w wzburzeniu, które w miasteczku Pirano, na zachodnim brzegu półwyspu istryańskiego, przybrało takie rozmiary, że trzeba było wezwać pomocy wojskowej. Nie wiadomo dotąd, kto właściwie nagle zarządził usunięcie dawnych włoskich napisów z gmachów sądowych i umieszczenie w ich miejsce włosko-chorwackich: czy, jak twierdzą dzienniki włoskie, nowomianowany prezes sądu krajowego w Tryeście, czy namiestnik Rinaldini, czy kto inny? W każdym razie zasada równouprawnienia narodowościowego nie powinna nigdy być przeprowadzana mechanicznie, bez względu na historyczne i inne stosunki.

Istrya już w III wieku przed Chrystusem należała do państwa rzymskiego. Po wędrówce ludów przechodziła różne koleje losu, ale jej zachodnia część od r. 1280 aż do 1797 należała do Wenecyi i zawsze była rdzennie włoskim krajem. Dopiero na mocy traktatu, zawartego w Campo Formio (1797) Austrya także tę zachodnią część Istryi wcieliła do swego terytoryum. Jednakże zawsze, nawet w czasach skrajnej centralizacyi i germanizacyi, pozostał tam język włoski urzędowym językiem władz, a mianowicie sądowym. Wprowadzić język niemiecki było niemożliwością. Usunąć używany tam od wieków, co najmniej od r. 1280 język włoski, aby go zastąpić chorwackim, o tem nawet nie pomyślano. To nie byłoby równouprawnieniem, lecz pogwałceniem odwiecznych praw i zwyczajów ludności włoskiej na korzyść chorwackiej. Oczywiście uczciwe zastosowanie równouprawnienia może nastąpić tylko w ten sposób, aby w powiatach, przeważnie włoskich, a zwłaszcza w miastach wyłącznie włoskich i nadal pozostał w użyciu język włoski, w przeważnie chorwackich zaś powiatach — chorwacki. Ale też w takim razie nie potrzeba w czysto włoskich miastach jak Pirano, Capo d'Istria, Rovigno itd. — tem mniej w Tryeście! — napisów włosko-chorwackich, lecz należało pozostawić dawne włoskie.

Przed kilku laty wydarzył się w imię mechanicznego równouprawnienia zamach na polski język sądowy w Galicyi. Zamach na język włoski w zachodniej Istryi wprawdzie jest niewinniejszy, bo zaznaczył się tylko w wywieszeniu dwujęzycznych napisów na gmachach sądowych. Jednak, potępiając jak zawsze uliczne demonstracye, możemy sobie żywo wyobrazić oburzenie Włochów. I nas szczególnie boli, jeżeli pozbawiają charakteru polskiego np. Wilno, Lwów, lub którąkolwiek miejscowość, którąśmy zdobyli naszej narodowości cywilizacyjną pracą długich wieków. Zarówno tu, jak tam, niewątpliwa wyższość cywilizacyi, społecznego ustroju i języka, który ma być wywłaszczony, nad językiem, na korzyść którego dzieje się wywłaszczenie, operacyę ową czyni szczególnie wstrętną. Pogodzić z nią może się tylko radykalny demokratyzm, liczący się wyłącznie z cyframi ludności, a umyślnie gwałcący wszelkie historyczne prawa i względy. Ale uczciwy i światły konserwatyzm nie oswoi się z takiem przeprowadzeniem równouprawnienia, przypominającem straszną operacyę, dokonaną na nieszczęśliwym bohaterze powieści „L'homme qui rit" Wiktora Hugo! Żadną też miarą interes państwa nie wymaga wyparcia języka włoskiego przez chorwacki. Język Danta posiada tak ogromną przewagę nad językiem Starcewicza i Spincicza, że żadne wpływy, choćby najpotężniejsze, nie zdołają zastąpić pierwszego drugim. Ale chociażby się to udało — cui prodest? Czy można przypuścić, że Włochy, zamierzając zagarnąć Istryę, cofną się przed chorwackimi napisami? Takie kwestye rozstrzygają się na pobojowiskach Custozzy etc., ale nie napisami na gmachach sądowych! Właśnie teraz jednak, skoro istnieje sojusz austryacko-włoski, nie zachodzi przecież żadna obawa wojny o Istryę. Po cóż więc niepotrzebnie wywoływać rozdrażnienie wśród ludności włoskiej? I to gwoli takich Starcewiczów etc., którzy nie mogą doczekać się tej chwili „gdy kopyta koni kozackich brzęczą po ulicach Zagrzeba" a wielkie państwo słowiańskie (czytaj: rosyjskie), „sięgać będzie od Białego morza do Adryi", jak to wygłaszają radykaliści chorwaccy!

Tego zdania nie zachwiała wczorajsza interpelacya posła Kljuna. Kanonik Kljun jest bardzo zacny i wytrawny polityk. Ale w zatargach włosko-słoweńskich nie dostaje mu koniecznej bezstronności. Słoweńcy i Chorwaci wyłącznie w imię liczby dążą do wyparcia Włochów z odwiecznych pozycyi, a w tej walce dawno utracili zdolność sumiennego rozważania uczuć i argumentów Włochów. Nadto taktyka parlamentarna niby to nakazywała ks. Kljunowi wyprzedzić w tej kwestyi rywalów słoweńskich i chorwackich, stojących po za klubem hr. Hohenwarta. My jednak nie możemy spraw publicznych i ważnych kwestyi zasadniczych czynić zależnemi wyłącznie od interesu 6-ciu posłów słoweńskich w klubie hr. Hohenwarta.

Demonstracye uliczne w Pirano zasługują na głośne potępienie. Że ks. Kljun także zaczepia namiestnika Rinaldiniego, jest to nowym objawem podniesionej powyżej stronniczości, bo przecież namiestnik spełnił swój obowiązek, stłumiając natychmiast rozruchy. Natomiast ks. Kljun nie przekonał nas, ani innych bezstronnych, że nagłe wywieszenie napisów włosko-chorwackich (względnie włosko-słoweńskich) w czysto włoskich miastach, w których takie napisy nigdy nie istniały, było rzeczą konieczną, wynikającą z rozumnie pojętej zasady równouprawnienia, tudzież rzeczą — pożyteczną dla państwa.

Uwagi

o ratowaniu wsi dotkniętych cholerą.

W obec pojawiającej się znowu tu i ówdzie cholery, mam sobie za obowiązek podzielić się z tymi którzy ratować bliźnich pragną, doświadczaniem nabytem w czasie trzech już epidemii; sam bowiem lekarz, choćby najgorliwszy, nie podoła na większą ilość chorych, potrzebny jest koniecznie zastęp ludzi z poświęceniem, którzyby pielęgnowali, rozcierali, uspakajali chorych i otoczenie, wreszcie pilnowali wypełniania przepisów lekarza, który jednocześnie wszędzie być nie może, pilnowali desinfekcyi i zapobiegali szerzeniu się zarazy. Nim do szczegółów pielęgnowania dojdę, zwrócę uwagę, tak władz dotyczących, jak opinii publicznej, na niektóre środki postępowania, które mojem zdaniem nietylko bardzo źle wpływają na umysły, ale ułatwiają szerzenie się choroby zamiast temu szerzeniu się zapobiegać.

Mówić tu będę tylko o leczeniu na wsi.

Pojmuję bardzo dobrze, że jeżeli w mieście w kamienicy zamieszkałej przez kilkunastu lub kilkudziesięciu lokatorów, ktoś zachoruje na cholerę, sumienie każe wywieść go do szpitala, aby tylu osób nie narażać; ale ten chory, nie jest właścicielem tego mieszkania, wreszcie wie, że go niosą do miejsca gdzie wszelka mu pomoc umiejętnie będzie daną. A zatem, ta smutna konieczność, jest zarazem usprawiedliwiona i złagodzona dla cierpiącego.

Inaczej się rzecz ma — zdaniem mojem — na wsi. Tam, gdzie chory ma własną chałupę, w której sam tylko z rodziną mieszka, lud uważa to za gwałt, żeby chorego, m i m o j e g o w o l i, wywlekano do szpitala i nikt mu tego nie wyperswaduje. Od czegoż ma bowiem własny dom, jeżeli nie od tego, by w nim spokojnie oczy zamknąć!... Pomijam opisy scen, od których serce się kraje ze zgrozy i bólu, patrząc jak dzieci matkom, matki dzieciom, mężów żonom zabierają; kto to widział, ten do śmierci nie zapomni, tych krzyków rozpaczy, tego szamotania, tego płaczu.

Ale nie ze względów litości, o tej rzeczy chcę pisać; chcę wykazać, że takie gwałtowne przenoszenie chorych z ich własnych chałup do szpitala cholerycznego nie zapobiega, ale raczej sprzyja szerzeniu się zarazy! Przypatrzmy się temu bezstronnie.

Wieś w której takie wstrząsające sceny się dzieją od razu staje na stanowisku odpornem, względem wszystkiego, co się nazywa pomocą leczeniem itp. Ludzie grozą i strachem przejęci, myślą tylko jak ukryć ofiary cholery, aby ich od rodziny nie odrywano, i nie niesiono do szpitala; zkąd ponieważ z natury rzeczy wypływa, że mało kto żyw wychodzi, skoro już prawie umierający się tam dostaje, krążą po wsi, kłamliwe wieści że chorych lekarze umyślnie trują! Cóż się więc dzieje? Oto jeżeli kto zachoruje, nie tylko że nie żąda pomocy lekarskiej, ale aby go nie wytropiono, ucieka z kąta w kąt po całem swojem obejściu aby się ukryć; to w stajni to na boisku to na strychu to w piwnicy leży i wszędzie zostawia za sobą wydzieliny choleryczne a więc bakterye zaraźliwe, uniemożliwiając zupełnie na potem wszelką kontrolę i desinfekcyę. W ten sposób choć potem go na ostatnią chwilę, do szpitala zawloką, to już nie pomoże i zaraza szerzy się w sposób zastraszający. Gdyby taki chory wiedział, że go gwałtem przenosić nie będą, gdyby spokojnie na swojem łóżku leżał i zażądał pomocy lekarza, o ileż łatwiej byłoby, po wyzdrowieniu lub po śmierci jego, tę jedną stancyę zdezinfekcyonować, siarką kadząc przez jeden dzień, zasypując koło łóżka wapnem karbolowem itd. Wreszcie wszelką radę i pomoc przyjmowanoby jako dobrodziejstwo, stosowano by się ochotnie do rozkazów, podczas gdy obecnie wszystko dąży tylko do tego, aby wyminąć i oszukać tych których się uważa za największych wrogów!... Wreszcie z chwilą gdy się doktór dowiaduje, że ktoś chory, jest już za późno, aby dom (jako dom) ustrzedz od zarazy; bakterye tam już nie chybnie gospodarzą. A co do krewnych chorego, to ci jeżeli mają w sobie sprzyjające warunki, już też zachwycili zarazę, wydalenie zaś ich z własnego domu do tak zwanego przez nich biedaków „kotrabau" (!) (kontumacyi) ten płacz za chorym odebranym, i powiedzmy prawdę, nie mniejszy czasem za krową żywicielką, która została w obejściu za kurką, której jajka na tygodniowym targu sprzedawane zapewniały sól dla rodziny myśl że to wszystko i wiele innych rzeczy, stanowiących ich cały majątek ich owoc wieloletniej pracy, zostaje bez opieki narażone na zatracenie; to mówię ten płacz i desperacya chyba wywołać wszelką chorobę mogą! Według mego zdania szpitale choleryczne, dobre tylko dla ludzi bezdomnych, wyrobników, sług komorników, ale właścicieli domów pozostawić się winno w spokoju.

A teraz o innych rozporządzeniach, a mianowicie, co do następnego, powołuję się na sąd fachowych gospodarzy czy mam słuszność. *Znów mówię tylko o cholerze na wsi*, bo w mieście, że każą natychmiast wszelkie śmieci i nieczystości z podwórza domów usuwać, o całkiem naturalne i konieczne; ale na wsi, każdy gospodarz ma przed stajnią gnojowisko jeżeli ono jest dobrze urządzone jeżeli jest otoczone rowkiem na gnojówkę która tą drogą spływa do studzienki, na ten cel przeznaczonej z której bywa czerpaną i rozlewaną po nawozie w kupce złożonym, jeżeli powtarzam, to gnojowisko jest dobrze urządzonem, natenczas nawóz taki nie tylko nie jest szkodliwym, ale sam przez się tworzy najlepszą i dla chłopa jedyną praktyczną desinfekcyę!

Wszak każdą nieczystość gospodarze zakopują, wszak nawet trup psa lub kota, zakopany w nawozie, strawiony przezeń zostanie, bez najmniejszej woni. Otóż wiem o miejscach wielu, w których starostwa rozporządzały, aby nawóz stajenny był bezpośrednio ze stajni codziennie wywożony w pole! — Niech rolnik jakikolwiek powie, czy to jest możebnem, skoro ten gospodarz i jego koń mają przecie inne pilniejsze w polu roboty, skoro w chwili, gdy na polu coś jeszcze rośnie trudno to nawozem przyłożyć, a w kupkach nawóz składany i nie polewany gnojówką popsuł by się a słoma z niego nie przegniła, poleciałaby z wiatrem cała! Więc taki zakaz to zubożenie gospodarzowi ziemi na kilka lat to przewrócenie jego płodozmianu do góry nogami. Rozporządzenia dotyczące tak ważnej gałęzi rolnictwa, jaką jest nawóz, powinny być oddane wpierw pod sąd ludzi fachowych, inaczej stać się mogą powodem niepowetowanych strat!

Ale pomińmy rolnicze straty, przyjrzyjmy się praktycznym skutkom takiego codziennego wywożenia: — Przed chatą było zaklęśnięcie, napełnione nawozem; nawóz zabrano, deszczowa woda napełnia ten dół i w nim gnije, wrzucają tam śmieci i nieczystości, i wtedy robi się dopiero wylęgarnia bakteryi, co się zowie! — Czy nie tak?

I jeszcze jedno: Chodzi tu o odpusty i pielgrzymki pobożne. Jeżeli jest słuszne zakazywać większych zbiorowisk ludzi w okolicach gdzie jaka zaraza panuje, toż to trzeba zrobić praktycznie, i nie tam dopiero zatarasować drogę pielgrzymom, gdzie już po mozolnej nieraz kilkudniowej podróży doszli, tylko tam, zkąd wyjść mają, już ich ostrzedz że nie będą dopuszczeni do celu podróży. Zawczasu przed dniami wielkich uroczystości, powszechnie wiadomych, jako dnie pielgrzymek i odpustów kazać obębnić po miasteczkach, lub prosić by księża z ambon głosili, że tam i tam nie będą pielgrzymi dopuszczani. — W zeszłym roku, w późnej jesieni poszła z Rymanowa pielgrzymka do Leżajska, jest to kilka dni podróży, nic im nie mówiono ani na miejscu, ani na drodze; pod noc doszli do Leżajska, a tu stoją żandarmi i nie puszczają; przychodzi burza, deszcz leje strumieniami, a ci biedacy o kilkadziesiąt kroków oddaleni od zajazdów i domów które by im chętnie udzieliły schronienia, w błocie na deszczu spędzić musieli całą noc płacząc i lamentując! Czy to praktyczne? — Ci ludzie byli tak pomęczeni, że o powrocie tego dnia mowy być nie mogło; że z tego wywiązała się niejedna śmiertelna choroba, tego i mówić nie potrzeba! — Węgrzy z kilku wsi nadgranicznych idą co roku w znacznej liczbie, (czasem paru tysięcy) na 7 września do Starej wsi pod Brzozowem na odpust zamiast na miejscu ich uwiadomić, że nie dojdą, dali im przejść większą część drogi i dopiero tam ich zawrócili.

Co zaś do samego pielęgnowania chorych, mojem zdaniem było by najodpowiedniej, aby dotyczące władze, wzywały na czas cholery zakony miłosierne do tego obowiązku. Byłby on spełniony w duchu miłości chrześciańskiej i wzbudzałby zaufanie przynosił pociechę zamiast *in Amtswege* pod karabinem żandarma, rozsiewać trwogę, i pobudzać ducha opozycyi. A co powiedzieć o biednych urzędnikach, których od rodzin odrywają i posyłają na pewną prawie śmierć! Czy od takich ojców rodzin można żądać heroizmu i poświęcenia, gdy tymczasem zakony, które ratowanie bliźnich mają za cel życia, pełniłyby ten obowiązek ochotnie i radośnie.

Dużo jest i dzisiaj ze strony ratujących nieraz, tak lekarzy jak urzędników i żandarmów, nietylko dobrej woli ale prawdziwego poświęcenia, ale przepisy takie jak powyższe, czynią że lud nasz zamiast wdzięczności, nieufność tylko czuje do tych co mu pomódz radzi, to też cofnięcie takich nakazów, o wieleby stosunki te na korzyść zmieniło, o tem nietylko ja jestem przekonana, ale wszyscy niemal, co się tej rzeczy naocznie i z blizka przypatrzyli.

Anna z Działyńskich Potocka, z Rymanowa.

Korespondencye.

Berlin 20 października.

(*Powracająca fala. — Zjazd legitymistów. — Pomnik Fryderyka I. — Popyt za niemczyzną. — Wyzyskiwanie dobroczynności. — Podróżnik polski. — Wynalazek prof. Behringa. — Premiery*)

Jeżeli wierzyć można przeciwnikom obecnego rządu, reprezentowanym przez tutejszą prasę zachowawczą i narodowo-liberalną, znajdujemy się obecnie w przededniu nowej zmiany systemu rządowego, zbliżamy się ku kursowi „najnowszemu", nie będącemu, mówiąc nawiasem, niczem innem, tylko powrotem do zbankrutowanej polityki bismarkowskiej. Przypatrzeć się więc wypada cokolwiek bliżej schodzącemu rzekomo do grobu tak zwanemu „nowemu" kursowi. W gruncie rzeczy kurs ten trwał w ogóle nie więcej niż dwa lata, a mianowicie od 18 marca 1890 do 18 marca 1892 roku. Program rządu w tym okresie był jasny i wyraźnie określony, zapowiadał mianowicie gruntowne reformy socyalne, szkołę chrześcijańską, pogodzenie pojedynczych stronnictw, warstw społecznych i narodowości. Ogromna większość narodu powitała ten program z uznaniem, a kurs nowy w ogóle z zaufaniem. Zaledwie jednak wydano hasło walki chrystyanizmu przeciwko ateizmowi, wnet uląkł się rząd wrzasków, wznoszonych przez żywioły liberalne. Nie ziściły się, co prawda, nadzieje liberałów, którzy oprócz obalenia reformy szkolnej, nie odnieśli żadnych innych korzyści, sternicy jednak nawy państwowej utracili naraz dotychczasową swą pewność. Nastąpiła polityka wahania się, przy której nikt nie wiedział, czy w rządzie przeważają zachowawcze, czy liberalne zasady. Reformy społeczne uległy zapomnieniu, zreformowano wprawdzie podatki, lecz powiększono je jednocześnie, wskutek czego wzrosło ogólne niezadowolnienie. Niezadowolnienie to panowało też w obozie liberałów, ponieważ zwrot z dnia 18 marca omylił ich nadzieje, w szeregach zachowawców i wszystkich

żywiołów chrześcijańskich, obarczonych na podłanie się rządu wymaganiom liberalnych krzykaczy, pomiędzy rzemieślnikami, drobnymi przemysłowcami, których skarg i życzeń nie uwzględniono, pomiędzy robotnikami z powodu zastoju w prawodawstwie socyalnem i wreszcie pomiędzy rolnikami, upadającymi w walce z coraz groźniejszemi konjunkturami. Wątpić jednak należy, aby „kurs najnowszy", czyli powrót do tradycyi, polegającej na szczuciu jednych warstw narodu na drugie, systemu bismarkowskiego, zaradził złemu. Złe to przybrało już tak groźne rozmiary, ogarnęło tak szerokie warstwy narodu, że o skutecznej z nim walce za pomocą środków policyjnych, czy prawodawczych, nie może być mowy.

Szereg kongresów politycznych urozmaicony został świeżo zjazdem mężów zaufania legitymistycznej partyi niemieckiej we Frankfurcie nad Menem. Frakcya ta w polityce nie posiada dotąd żadnego znaczenia, mimo to za cel sobie wytknęła potężny, bo przywrócenie Niemiec do stanu, w jakim się znajdowały przed r. 1866 t. j. przed wojną austr. niemiecką. Legitymiści ułożyli program polityczny, zmierzający do ściślejszego zbliżenia się do Austryi i do wyparcia przewagi Prus w Niemczech.

W braku konkretnych wypadków politycznych, doniosłejszych zajęli np. taki zjazd legitymistów, zajmuje się z konieczności faktami mniejszej wagi. Do takich należy odkrycie pomnika Fryderyka I założyciela dynastyi elektorów brandenburskich. Pomnik wykonany przez Alex. Calandrellego stanął we Friesak. Akt odsłonięcia był bardzo [illegible], uczestniczyli w nim: cesarz, prezes ministrów, minister oświaty, naczelny prezes Brandenburgii i mnóstwo gości. Fryderyk I. w podwójnej naturalnej wielkości, stoi na wysokim wzniesieniu z [illegible] w ręku. Cesarz Wilhelm po dokonanym akcie, wychylił puhar za zdrowie Brandenburgii.

Dumie niemieckiej pochlebiło ogłoszenie franc. ministeryum oświaty tej treści, że młode nauczycielki niemieckie mogą otrzymać dobrze płatne posady w francuskich seminaryach nauczycielskich do konwersacyi niemieckiej. Niemczyzna widocznie zaczyna się robić we Francyi popularniejszą niż dotąd.

Do charakterystyki obyczajów tutejszych posłużyć mogą niektóre szczegóły, zaczerpnięte ze świeżo wydanego sprawozdania tutejszego Towarzystwa Dobroczynności. Rzecz jest dowiedziona, że często dzieci zamożnych rodziców otrzymują niższe lub wyższe wsparcie, pochodzi to zaś zazwyczaj stąd, iż dzieci te nie mieszkają przy rodzicach, co utrudnia kontrolę stanu majątkowego rodziców. Ale co gorsza, okazuje się ze sprawozdania, że i ludzie dojrzali, w kwiecie sił będący, przytem zamożni, korzystają z miłosierdzia berlińskiego z bezwzględnością niesłychaną. Ankieta, zarządzona przez niektórych członków Towarzystwa Dobroczynności, wykryła, iż w jednym wypadku matka dwóch kupców, liczących swoje dochody na dziesiątki tysięcy marek, otrzymywała stałe wsparcie z funduszów miejskich. Powie kto, że mamy do czynienia z wyrodnemi dziećmi, które pozwalają matce umierać z głodu! Bynajmniej! Matka od synów pobiera rentę, bardzo dobrze wystarczającą na utrzymanie, ale dla „zaokrąglenia" dochodów [illegible] grosz publiczny ze skarbnicy miłosierdzia. Zagrożeni skandalem synowie, zobowiązali się zwrócić wsparcie, które matka ich otrzymała za rok ubiegły. Ale faktem jest, iż pani ta od lat co najmniej sześciu pozostawała na liście wspieranych przez dobroczynność. Dalej wykryto, iż teściowa jednego z urzędników państwowych, która dała córce 80.000 marek posagu, sama zaś posiada dwa domy na prowincyi, przynoszące jej 3000 marek rocznie, brała od Towarzystwa Dobroczynności wsparcie w wysokości... 400 marek rocznie. Dwa powyższe przykłady mogłyby być poparte całym szeregiem innych, gdyby Towarzystwo Dobroczynności chciało uważnie przejrzeć listę wspieranych przez siebie „biedaków".

Berlińskie stowarzyszenie kolonizacyjne od dawna już przygotowywało wyprawę do Togo. Właśnie teraz ukończono przygotowania do tej wyprawy i oddano ją pod dowództwo szefa stacyi kolonialnej w Misahöhe, dra Grunera, który już od lat dwóch bawi w Togo. Aż do czasu połączenia się z szefem, dowodzić będzie wyprawą porucznik Pawlikowski, który wyruszył już z Hamburga. Przeszłość tego człowieka jest bardzo romantyczna. W młodości służył w wojsku egipskiem, a mianowicie w tamtejszej kawaleryi, która tem się zasadniczo różni od naszej, że jeździ nie na koniach, lecz na wielbłądach. Kiedy wydano rozporządzenie, że oficerem egipskim może być tylko krajowiec albo Anglik, Pawlikowski musiał podać się do dymisyi. Następnie brał udział w wyprawie na pustynie libijskie, później zaś zaangażowany był przez komitet antiniewolniczy w Koblencyi na wyprawę do Ukerewe. W następnym roku brał czynny udział w wyprawach do Masawy, w styczniu zaś rb. powrócił do Berlina, gdzie oddawał się pracom naukowym w muzeach przyrodniczych.

Wynaleziony przez prof. Behringa środek zwalczania dyfteryi wywarł tu należyte wrażenie w sferach inteligentnych, zewsząd więc czynią się starania, ażeby go uczynić przystępnym dla jak najszerszego ogółu. Zarząd szpitali miejskich zorganizował już fabrykacyę surowicy dyfterycznej pomimo, że nie posiada na to funduszy i będzie musiał przekroczyć budżet. Powagi lekarskie sądzą, że nowy środek spadnie niezadługo w cenie, zwłaszcza jeżeli rządy zechcą przyczynić się do tego. W Dreźnie zarząd miejski przeznaczył 4000 marek na przygotowanie surowicy i otwarcie szpitala prowizorycznego dla chorych na błonicę.

Herman Suderman, po hałaśliwym tryumfie z powodu napisania „Honoru" i „Końca Sodomy", wycofał się i popadłszy w manierę, coraz wyraźniej zaczyna kopiować samego siebie. Świadczy o tem choćby najnowszy jego dramat, który absolutnie nie dorównywa poprzednim. „Schmetterlingsschlacht" („Walka motyli") grzeszy bardzo poważnemi niedostatkami, z których kardynalnym jest nudna i rozwlekła akcya. Czteroaktowa ta komedya traktuje dość często poruszany już, zarówno na scenie, jak w powieściach, temat pogoni za [illegible]. W [illegible] żyje uboga wdowa po urzędniku, zachowująca pozory zamożności przy pomocy rozpaczliwych środków, pozory t. zw. lepszego towarzystwa i zarzucająca wędki na „dobre partye" dla swoich trzech pięknych córek. Najstarsza z nich, Eliza, [illegible] swoich zabiegów: ale po bliższem zbadaniu okazało się, że upolowana złota rybka była tylko prostym szarym kiełbikiem. [illegible] a młoda mężatka zamienia się w ponętną wdówkę, utrzymującą stosunek z ajentem handlowym Kesslerem i równocześnie polującą na drugiego męża. Młodsza jej siostra jest jeszcze piękniejszą, a przedewszystkiem pozbawioną sprytu i inteligencyi: apatyczna, ziewająca, wiecznie głodna piękność, oczekująca na hrabiego. Trzecia wreszcie Rózia, prawie dziecko, jest geniuszem i dobrym duchem rodziny. Jestto mięszanina głębokiego idealizmu i dobroci a przytem teoretycznej świadomości rozmaitych brudów życiowych. Suderman, rysując tę postać, powtórzył jeden z najlepszych swoich typów, Klärchen z „Końca Sodomy", z tą tylko różnicą, że tu wysunął ją na pierwszy plan i staranniej uwypuklił. Rózia, [illegible] opłakany stan majątkowy swej rodziny, pragnie przyczynić się choćby do pomnożenia dochodów, malując na wachlarzach walkę motyli, składając w przepych barw alegorye swoich promiennych snów dziecięcych (analogicznie powstał tytuł „Końca Sodomy"). W pięknej wdowie Elizie zakochany jest syn bogatego fabrykanta Winkelmanna, tegoż, dla którego Rózia maluje swoje wachlarze. Nadarzyła się zatem bogata, gorąco oczekiwana partya. Po zaręczynach pokazuje się jednakowoż, że nieśmiały a przytem uczciwy chłopak [illegible] Elisy. Bywając w domu jej rodziców młody Winkelmann [illegible] zbliża się do Rózi, znajduje oddźwięk swoich własnych uczuć [illegible] sympatyczny węzeł pomiędzy Winkelmannem i najmłodszą siostrą jego narzeczonej. Lekkomyślna Eliza tymczasem [illegible] Kesslerem. Narzeczony dowiaduje się o tem i chwyta ich na nocnej schadzce. Aby ocalić siostrę, Rózia przyjmuje na siebie rolę kochanki Kesslera. To jednak nie wiele pomaga. Węzły, które miały połączyć obie rodziny, zrywają się. Ostatecznie jednak rzecz się wyjaśnia i Rózia staje się narzeczoną byłego narzeczonego swej siostry. Na tem kończy się sztuka. Rozszerzając się zbytecznie w drobiazgach, Suderman stracił z uwagi akcyą dramatyczną, która rozwija się powoli, a niekiedy ustaje zupełnie. Publiczność tutejszego teatru Lessinga, w którym „Walkę motyli" pierwszy raz wystawiono, narażona niektóremi ustępami 2 i 3 aktu na ciężką próbę cierpliwości, przyjęła sztukę sykaniem i gwizdaniem. Rzecz dziwna jednak, że główny zasób swej zemsty wywarła publiczność na akcie czwartym, odznaczającym się właśnie prawdziwą poezyą. Przerywano go kilkakrotnie głośnemi oznakami niezadowolnienia. Jak w poprzednich utworach Sudermana i w „Walce motyli" główną zaletę stanowi przepyszny rysunek postaci. Skąpy, zwiędły fabrykant jest typem, schwytanym na gorącym uczynku. Tak samo z życia wziętą i doskonale wykończoną postacią jest wdowa po urzędniku, walcząca rozpaczliwie o szczęście swych córek. Kesler, elegancki, swobodny, a przytem przebiegły komiwojażer, poetyczna Rózia i jej obie siostry, wszystko to ludzie, których mamy dokoła siebie, a które tak niezrównanie wprowadzić na scenę, tchnąć w nie tyle prawdy i życia, mógł tylko równie dobry obserwator, pisarz i technik sceniczny, jak Suderman.

Na kilka dni przed „Walką motyli" upadła w królewskim *Schauspielhaus*'ie najnowsza sztuka Pawła Lindaua „Ungerathene Kinder" (Niesforne dzieci). Do niedawna jeszcze premiera Lindaua stanowiła dla berlińskich teatromanów atrakcyę sezonu, od czasu jednak, gdy opuścił Berlin i zamieszkał we własnym majątku na wsi, zaczyna Lindau gwałtownie spadać z dotychczasowej wyżyny literackiej, a przed zupełnym upadkiem chroni go jedynie reklama dość licznych przyjaciół w dziennikarstwie. W każdym razie dawniejsze prace Lindaua okazywały przynajmniej pewną zręczność sceniczną, połączoną z dość dużym zasobem humoru, ostatnie zaś, a przedewszystkiem „Ungerathene Kinder" nie posiadają już żadnych zalet, a przepełnione są zasadniczymi błędami. Pomimo więc wysiłków zaprzyjaźnionych z Lindauem tutejszych recenzentów teatralnych, mięszanina ta figur ze starych komedyi i starszych jeszcze efektów teatralnych, zrobiła fiasco.

Trzecią wybitną nowością była przedstawiona w teatrze „Residenz" sztuka Faldy p. t. „Koledzy" (*Die Kameraden*), która doznała nader przychylnego przyjęcia tak ze strony krytyki jak i publiczności. Falda daje w „Kolegach" pełną werwy satyrę kobiet, dążących za nieokreślonym ideałem artystycznego życia. Bohaterka porzuca męża i żyje w koleżeńskich stosunkach śród cyganeryi literackiej. Stosunki te przynoszą jej w końcu rozczarowanie, przekonywa się więc, że „prawdziwym kolegą kobiety jest tylko kobieta." Zdobywszy taki sens moralny bohaterka w towarzystwie innej kobiety postanawia szukać spokoju i szczęścia — w Monaco. Porzucony mąż zaś znajduje młodą, prawowitą, inteligentną dziewczynę, którą poślubia.

6) Priessnitz. Rikli. Kneipp.

Przytoczę teraz przykład umiejętnego leczenia uzdrowiskowego i porównam go z ludowem leczeniem tego rodzaju.

Przypuśćmy, że pewna osoba, mieszkająca w mieście, zaziębiła się przypadkowo i dostała kaszlu kataralnego. Przypuśćmy dalej, że stało się to w ciepłej porze roku. Kaszel tego rodzaju ustaje łatwo, jeśli chory przebywa wiele na wolnem powietrzu i jeśli to powietrze jest zarazem czystem i łagodnem. Przypuśćmy jednak, że wspomniana osoba nie może temu warunkowi czynić zadość w mieście, gdyż tam jest powietrze niezdrowe, a nadto musi ta osoba spędzać większą część dnia w powietrzu zamkniętem, gdyż ma zajęcie tego rodzaju.

Ażeby więc ta osoba mogła rychło wyzdrowieć, t. j. pozbyć się kaszlu, musi ona zmienić miejsce pobytu i tryb życia. Najprostszym zaś środkiem uczynienia zadość tym warunkom jest wyjazd, jeśli nie w góry lub nad morze, toć przynajmniej na wieś. Przebywając tam całymi dniami, jeśli stan pogody na to zezwala, na wolnem powietrzu i wiodąc uzdrowiskowy tryb życia, pozbywa się wspomniana osoba kaszlu w krótkim czasie.

Przypuśćmy jednak, że w miejscowości, do której wspomniana osoba wyjechała, mieszka taki ludowy lekarz, o którym się wyrobiła tradycya, że go natura obdarzyła takim darem leczenia, iż przewyższa w tym względzie lekarzy rzeczywistych. Przypuśćmy dalej, że sposób leczenia, który sobie ten ludowy lekarz wykomponował, polega głównie na tem, iż polewa chorych wodą rażąco-zimną i czyni to bez względu na rodzaj choroby, na indywidualność chorego, na stan pogody i na ciepłotę lokalu kąpielowego. Przypuśćmy po trzecie, że osoba, o której tu mowa, oddała się z całą wiarą w ręce tego lekarza ludowego i pytajmy, jaki przebieg weźmie jej kaszel? Oto taki, jaki wziąć musi. Z początku zaostrzy się on, gdyż polewania wodą rażąco-zimną będą oziębiać klatkę piersiową i stopniować tym sposobem przyczynę kaszlu, t. j. katar oskrzeli. Później złagodnieje kaszel nieco, zwłaszcza jeśli nastaną dnie ciepłe. Następnie zaostrzy się on znowu, jeśli chory będzie używać polewań kilka razy dziennie, i jeśli będzie to czynić bez względu na stan pogody i na ciepłotę lokalu kąpielowego. Taki stan rzeczy będzie powtarzać się kilkakrotnie, ostatecznie jednak ustanie kaszel. Rezultat leczenia będzie zatem w obu razach jednakowy, ale z tą różnicą, że w drugim razie potrwa leczenie dłużej, niż potrzeba, a nadto osoba kaszląca będzie znosić niepotrzebnie owe przykrości, jakie sprawiają polewania rażąco-zimne.

Nasuwa się teraz pytanie, czy spostrzega też ta osoba, że przedłuża niepotrzebnie chorobę swoją, i że z leczenia uzdrowiskowego, a zatem z rzeczy prostej i przyjemnej, robi dziwactwo nieprzyjemne? Na to pytanie musimy odpowiedzieć, że osoba ta nie spostrzega tego wcale, a to dla tej prostej przyczyny, że fakt ten nie dochodzi do jej świadomości. Skutkiem tego jest ta osoba całkiem zadowolnioną, bo uspokaja ją wiara i wynikające z niej przekonanie, że się leczy niezrównanie dobrze.

Z przykładu tego widzimy, że chory absolutnie nie jest w stanie osądzić, czy go lekarz ludowy leczy dobrze, czy źle, a względnie czy go leczy rzeczywiście, czyli tylko pozornie, t. j. przez „suggestyę". Sąd o tej rzeczy jest zresztą tak trudnym, że nawet pomiędzy lekarzami panuje w tym względzie nieraz różnica zdań jak największa. Do osądzenia bowiem, czy pewien sposób leczenia jest dobrym, potrzeba nietylko rozsądku krytycznego, ale i wiedzy bardzo obszernej, a ostatecznie potrzeba mieć przed oczyma jeszcze fakt następujący.

W każdym sposobie leczenia, a względnie w działaniu każdego środka, o którym się wyrobiła ludowa tradycya, że jest niezrównanie skutecznym, odgrywa, jak powiedziałem wyżej, „suggestya" rolę bardzo ważną. W naszem stuleciu wyrabiały się wspomniane tradycye już o rozmaitych sposobach leczenia i o rozmaitych środkach. Przypomnę tu tylko kilka takich środków, które są więcej znane.

Z początkiem stulecia wyrobiła się była ludowa tradycya o nadzwyczajnej skuteczności homeopatyi Hahnemanna. To też wówczas cała Europa marzyła tylko o homeopatyi i leczyła się homeopatycznie. Później wyrobiła się podobna tradycya o priessnitzowskich sposobach stosowania wody; następnie o homeopatyi Mattejego; w teraźniejszej generacyi nareszcie powstała taka tradycya o „polewaniach kneippowskich". Otóż potrzeba umieć osądzić, czy środek, który ludowy lekarz stosuje, działa i fizycznie i psychicznie, tj. przez „suggestyę", lub czy działa tylko przez „suggestyę", fizycznie zaś albo nie działa wcale, jak n. p. środki homeopatyczne, albo działa nawet szkodliwie, jak to czynią polewania kneippowskie, jeżeli je stosujemy bez względu na rodzaj choroby, na indywidualność chorego i na inne szczegóły. Wszystkie te okoliczności należy uwzględnić, chcąc orzec, czy leczenie było dobrem lub nie. Chory nie zna tych okoliczności, nie może ich zatem uwzględniać. Dlatego też opiera on swój sąd albo tylko na tem, co się innym zdaje, albo na tem, co się jemu zdaje. Nie zastanawia się więc nad tem, że nie takie leczenie jest dobrem, które się wydaje być dobrem, lecz tylko takie, które jest rzeczywiście dobrem. Powtóre nie uwzględnia, że nieraz najniedorzeczniejsze postępowanie lekarzy ludowych wydaje się być leczeniem dobrem, jeśli się na nie zapatrujemy przez mgłę zabobonu.

V.

Jakie choroby nadają się do leczenia przez lekarzy ludowych?

Do leczenia przez lekarzy ludowych nadają się takie same choroby, jakie się nadają do leczenia uzdrowiskowego. Są to więc takie choroby, które nie wymagają ani operacyi, ani leków swoistych, ani wód mineralnych, lecz tylko czynników uzdrowiskowych. Ponieważ jednak choroby tego rodzaju przemijają nierównie prędzej w uzdrowiskach klimatycznych, przeto najodpowiedniejszemi do leczenia przez lekarzy ludowych są takie choroby, które leczy „suggestya". Siedzibą takich chorób jest wyobraźnia, a przyczyną brak energii woli. Występują one zaś najczęściej na tle neurastenii, lub histeryi, a po części także na tle hypochondryi.

Im silniejszą jest wiara takich chorych w leczącego i jego sposób leczenia, tem pewniejszem jest wyzdrowienie. Ponieważ zaś chorzy tego rodzaju pokładają zwykle największą wiarę w takich lekarzach ludowych, o których się wyrobiła tradycya, że są obdarzeni z natury niezwykłym darem leczenia, przeto wysyłają nieraz nawet znakomici lekarze chorych tego rodzaju do takich lekarzy ludowych. Skutkiem tego wyrabia się u ludu, który o tem słyszy, przekonanie, że tacy lekarze ludowi umieją lepiej leczyć, niż lekarze rzeczywiści.

C. d. n.

Rada miasta Lwowa.

Lwów 26 października.

Na początku wczorajszego posiedzenia, — któremu przewodniczył pan wiceprezydent dr. Marchwicki — odczytano pismo burmistrza m. Przemyśla dra Dworskiego, który w imieniu uczestników zjazdu burmistrzów i delegatów 30 miast, odbytego w dniach 14go i 15go bm., składa Reprezentacyi miejskiej podziękę za serdeczną i staropolską gościnność. Następnie w imieniu komisyi elektrycznej p. r. Gołąb przedstawił następujące wnioski: 1) linia kolei elektrycznej od ulicy św. Zofii na wystawę ma być rozebraną; 2) zażądać od firmy Siemens i Halske postawienia pawilonów poczekalnych tego samego typu i konstrukcyi jak pawilon poczekalny na wałach Hetmańskich: obok szkoły św. Zofii, przy placu Ołowym na rogu skweru, przy ulicy Łyczakowskiej obok szpitalika św. Zofii i obok cmentarza Łyczakowskiego; 3) uznać jako linię główną ze względu na ruch kolejowy linię kolei elektrycznej od dworca do cmentarza Łyczakowskiego, zaś linię od cerkwi św. Piotra i Pawła do szkoły im. Zimorowicza jako odgałęzienie. Nad wnioskami tymi zabierali głos pp. r. Markiewicz, Schayer, Kordys, Michalski, Gostkowski i Ciesielski, który domagał się, aby za linię główną uznaną była linia od dworca do szkoły im. Zimorowicza. W głosowaniu przyjęto wszystkie wnioski komisyi elektrycznej bez zmiany. Wniosek dra Ciesielskiego upadł.

Na wniosek delegata p. Michalskiego uchwalono bezzwłocznie przystąpić do budowy kanału w ulicy Bema. Kanał ten niezbędnym jest ze względów sanitarnych.

W sprawie budowy drogi szutrowanej do Brzuchowic postanowiono udać się do Wydziału powiatowego lwowskiego, aby drogę tę uznał za powiatową i przeprowadził konkurencyę ze stronami interesowanemi, oraz, aby udać się do Wydziału krajowego, by i on przyczynił się do pokrycia części kosztów budowy. Budowa tej drogi od Zamarstynowa aż do drogi dojazdowej na dworzec w Brzuchowicach kosztować ma, według oświadczenia ref. p. r. Gołąba, 40 000 zł.

P. Antoni Biliński, którego ofiarnością powstał zakład dla nieuleczalnych we Lwowie, zapisał dodatkowo 30 000 rubli na rzecz budowy osobnego pawilonu dla zakładu nieuleczalnych, pod warunkiem, że gmina pokryje koszta urzędowe tej darowizny i płacić będzie ofiarodawcy procent od tej sumy aż do jego śmierci. Ref. dr. Maryański w imieniu sekcyi II i magistratu uczynił wniosek, aby Rada na powyższe warunki się zgodziła, a nadto, aby uprosiła p. prezydenta, by na czele deputacyi złożył szczodremu ofiarodawcy serdeczne podziękowanie. Nado przyjęła Rada do wiadomości rozporządzenie ostatniej woli pana Bilińskiego, w którem zapisuje on na rzecz zakładu dla nieuleczalnych wszystkie swoje ruchomości, przeznacza 1000 zł. na utrzymanie jego grobowca, a w końcu prosi Radę, aby mu sprawiła skromny pogrzeb w razie, gdyby po jego śmierci nie pozostała żadna suma na opędzenie tych kosztów. Śp. baron Zygmunt Romaszkan zapisał 1000 zł. na szkołę św. Zofii pod tym atoli warunkiem, aby ulica powstać mająca w przyszłości na Stillerówce nosiła nazwisko Romaszkana. Ks. kan. Mazurak w imieniu sekcyi II przedstawił wniosek, aby Rada legat ów przyjęła i na warunek testatora się zgodziła. Sprzeciwił się jednak temu p. Bardasz, poczem Rada owego legatu, z powodu warunku, jaki jest do niego przywiązany, nie przyjęła.

R. dr. Maryański uwiadomił Radę, że trybunał administracyjny nie uwzględnił rekursu jej, wniesionego w sprawie przypisu podatku dochodowego od funduszu propinacyjnego na rzecz gminy m. Lwowa.

Po załatwieniu kilku drobnych spraw administracyjnych przystąpiono do posiedzenia tajnego.

KRONIKA.

Lwów 26 października.

Choroba cara. Na giełdach utrzymuje się uporczywie od wczoraj pogłoska, że car już nie żyje i że tylko ze względów politycznych zatajają jeszcze przed światem jego śmierć. W przekonaniu tem utwierdza sfery giełdowe ta okoliczność, że od wczoraj biuletyny o stanie zdrowia cara nie są podpisane przez lekarzy. Owóż wnoszą stąd, że ponieważ lekarze nie chcieli podpisem swym stwierdzić kłamstwa, przeto dziennik urzędowy, z polecenia rządu ogłasza dowolnie skombinowane biuletyny, aby aż do ożenienia się następcy tronu utrzymać naród w nieświadomości.

Bardzo sprytnego fortelu użyli nihiliści, ażeby wywołać w ludności niechęć przeciw nowemu carowi. Oto rozgłosili oni, że car chcąc zostawić po sobie piękną pamięć i uszczęśliwić tysiące swych biednych poddanych przed śmiercią sporządził testament, w którym porobił niezliczone mnóstwo pomniejszych legatów, że jednak testament zniszczono z polecenia carewicza.

W kołach dworskich w Petersburgu opowiadają, iż pośrednią przyczyną ciężkiej choroby cara są względy polityczne. W czerwcu b. r. lekarze zbadawszy stan zdrowia cara, radzili mu, aby wyjechał do Karlsbadu, gdyż byli zdania, że wody tameczne wyleczą go zupełnie. Car rady lekarzy usłuchał i poczynił wszelkie przygotowania do podróży. Przeprowadził pertraktacye z rządem austryackim w sprawie swej ochrony przed zamachami, a otrzymawszy pomyślną odpowiedź, wysłał do Karlsbadu służbę, która miała wyszukać i urządzić dla niego mieszkanie. Wszystko było gotowem i już car miał puścić się w drogę, gdy wtem nagle telegramy rozniosły po świecie wiadomość, że książę

163

WOJCIECH DZIEDUSZYCKI.

ŚWIĘTY PTAK.

POWIEŚĆ HISTORYCZNA.

(Ciąg dalszy).

Gdyby się natarło całą hurmą na piramidę, nie było wątpienia, że jej obrońcy musieli wreszcie wyginąć. Ale co się stanie z pożądaną dziewczyną, pośród szczęku oręży i lotu pocisków? Zwycięstwo będzie okupione drogo, bo Egipcyanie, broniąc się ze szczytu piramidy, z rozpaczą ludzi, dla których nie było nadziei, mogli i musieli zabić mnóstwo nacierających. Każdy Egipcyanin mógł tam, z góry zabić dziesięciu nieprzyjaciół, zanim sam zginie. A potem dostanie się wprawdzie w ręce zwycięzców Hesz-Aker, ale czy Hesz-Aker żywa? I czy posiadanie trupa zapewni zwycięstwo?

Wśród takich wątpliwości naradzali się czas jakiś wodzowie Achajów i Tyrzenów. Nareszcie Eutymos, bohater o donośnym nad wyraz głosie, wziął do ręki białą laskę z kości słoniowej, znamionującą posłów i zbliżywszy się do piramidy zawołał, że Danaus, sławny hetman Achajów chciałby się z wodzem Egipcyan rozmówić. Poparlamentowano czas jakiś, a wreszcie stanęła umowa co do spotkania obydwu wodzów. Zgodnie z tą umową odsunęło się wojsko barbarzyńców całe dalej w głąb, za siódmy pomnik grobowy, a Danaus, zestąpiwszy z rydwanu, sam jeden poczekał na tem miejscu gdzie był.

Amento ucałował znów Hesz-Akerę i rzekł do niej:

— Idę się układać. Może w układach będzie ratunek, bo z orężem w ręku nie ostoimy się przeciw takiemu wojsku.

I zeszedł na dół, po schodach z połyskującego granitu, w jaskrawym blasku porannego słońca.

Hesz-Aker została sama na platformie otoczonej pasem zbrojnych żołnierzy, siedzących w milczeniu, a oczekujących boju i śmierci. Objęła ramionami kolosalną nogę kamiennego przodka i tuliła się do niej w śmiertelnej trwodze. Wciąż przelatywała przez jej głowę myśl, że się spełniało marzenie obudzone w niej przez mowy greckiej niewolnicy. O nią toczono boje. W Amencie powstał ów bohater bajeczny, który ją miał wynieść z pośrodka krwawej bitwy do małżeńskiej łożnicy. Ale nie było w jej sercu radości, był strach tylko.

Amento już zeszedł z piramidy, już stąpał po wielkich głazach umarłej równiny, idąc ku hetmanowi Achajów. Tam miał o niej mówić, tam miał usiłować ją wybawić, lecz nadaremnie!

A przecie święty ptak ze Sni, krogulec, w którym się był wcielił bóg Horus, uleciał cudownie ze swego przybytku, wyraźnie na to tylko, aby ją wczoraj wybawić z rąk barbarzyńców. Czyżby ten cud Boży miał być nadaremny? Czyżby sama opieka bogów była niemocną, w obec sił wrogiego przeznaczenia?

A na to zapytanie wstąpiła w nią napowrót otucha. Wszystkie przeczucia, wszystkie marzenia jej dziecinnej duszy miały się sprawdzić. Wraz z bohaterem ukochanym miała ujść w kraj daleki, lepszy stokroć od Egiptu. Tym krajem mógł być jednak tylko raj Ozyrysa i Izydy, przybytek wszechpiękna i wszechdoskonałości, o którym Hatazu prawiła jej tak wymownie, przed kilku dniami, w klasztorze.

Na tę myśl rozjaśniło się w duszy Hesz-Akery; oczy jej zapłonęły jakiemś dziwnem światłem.

Tymczasem Amento zeszedł się już z Danausem. Stanęli na kilka kroków od siebie i Danaus przemówił pierwszy.

— Wodzu Egipcyan, ty mnie znasz, bo wszyscy synowie tej czarnej ziemi słyszeli imię dzielnego Danausa o przebiegłej myśli; ale ja nie wiem, jakie twoje miano i jak mam przemawiać do ciebie?

— Jestem Amento, syn Usfreheta, — odrzekł Egipcyanin — i jestem wodzem straży Amenemhy, księcia na Sni.

— Słuchaj Amento, a mów mi prawdę, bo przejrzę kłamstwo twoje, jakby szybę egipskiego szkła. Nie prawdaż, jest pośród was Hesz-Aker, córka pana twego?

— Nie, nie ma jej.

— Kłamiesz.

— Prawdę mówię.

— Czy przysięgniesz na to, co mówisz?

— Kiedy z góry powiadasz, że kłamię, nie wiem, na co ci się przyda moje przysięganie? Jak nie wierzysz słowu, nie uwierzysz także przysiędze.

— Ja wiem, że macie ją między sobą. Po to przyszliście tu, aby ją obronić przed nami, a zabiliście na tem miejscu, na którem ja stoję, dziewicę Elpinoę, która była wpierw niewolnicą w domu Amenemhy, i dzielnego bohatera Diomedonta. Zabiliście ich niegodziwie, a trupy zostawiliście na tem miejscu.

— Świadczę się słońcem, wielkim bogiem Egipcyan, słońcem złotem, ktore spogląda na nas z wysokiego sklepu niebieskiego, żeśmy tych ludzi nie zabili i że nic nie wiemy o ich losie.

— Kłamiesz jak pies, który myli pana swojego na łowach, goniąc za złym tropem.

— Patrzaj! oto nie wierzysz przysięganiu mojemu, jak to przepowiadałem. Po cóż tedy żądałeś wpierw przysięgi?

— Ani przysięgom, ani słowom Egipcyan nie wierzę, bo wiem jaki to ród kłamliwy i jadowity. Ale nie potrzebuję odpowiedzi twoich, bom pewny bez ciebie i słów twoich, że Hesz-Aker jest pośród was, tam u szczytu piramidy.

— A zkądże to wiesz? Czy masz oczy przenikliwe orła? i czy możesz ją tam rozróżnić pośród tych ludzi, którzy ztąd wyglądają jak pszczoły siedzące na wierzchu ula?

— Wzroku ptasiego nie mam, ale mam rozum ludzki, przenikliwy.

— Najbardziej przenikliwy rozum ludzki myli się łatwo, kiedy się chce domyślić tego, czego nie wie.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Ferdynand bułgarski przybył do Karlsbadu na kuracyę. Car nie chcąc razem z nim się zjechać, zaniechał swej podróży. Książę Ferdynand bawił w Karlsbadzie przez 6 tygodni i zdrów ztamtąd wyjechał, car zaś przez tych 6 tygodni tak podupadł na zdrowiu, że już do Karlsbadu pojechać nie mógł. Tak więc polityka zemściła się na carze i skróciła dni jego życia.

Mianowania. Prezydyum wyższego sądu krajowego we Lwowie zamianowało kancelistami sądów kolegialnych: Juliusza Sobka z Boryni do Sambora, Jana Lorenza z Gwoździca do Sanoka, Michała Polityńskiego z Mikołajowa do Przemyśla; zaś kancelistami sądów powiatowych: Samuela Sommerfelda do Oleska, Józefa Mechla Demanta do Niemirowa, Władysława Kowalskiego do Gwoździca, Edwarda Hoffmana do Bóbrki, Franciszka Gągata do Boryni, Kazimierza Muszkiewicza do Żabiego, kancelistami dla prowadzenia ksiąg gruntowych: Wincentego Pawła Rubingera do Boryni, Maryana Cegleckiego do Tłustego i Ludwika Józefa Wrońskiego do Jaworowa.

Wydział krajowy zamianował p. Bolesława Czołowskiego aplikantem konceptowym.

Przeniesienia. Lwowski wyższy sąd krajowy przeniósł kancelistów sądów powiatowych: Michała Gilicińskiego w Bóbrce do Jarosławia, Władysława Grzywackiego w Grzymałowie do Skolego, Ferdynanda Antoniego Bobryka w Lutowiskach do Liska, Artura Weichselbauma w Olesku do Śniatyna, Leopolda Makarewicza w Boryni do Mikołajowa, Grzegorza Szyjkę w Delatynie do Grzymałowa, Jana Bętkowskiego w Niemirowie do Lutowisk i Edmunda Skulskiego w Jaworowie do Delatyna.

Wiadomości dyecezyalne. Archidyecezya lwowska obrz. łać.: Dymisyę do dyecezyi antybarskiej w Czarnogórze otrzymał ks. Stojałowski Stanisław. Przeniesieni księża kooperatorzy: Stanisław Świdecki z Żydaczowa do Cieszanowa; Dawid Niemiec z Bolechowa do Żydaczowa w charakterze koop. administ.; Jan Stojek z Lubaczowa do Bolechowa; Adolf Przedrzymirski z Brzeżan do Rohatyna; Józef Gabrysz z Rohatyna do Brzeżan. Konkurs na prob. w Podwysokiem ogłoszono z terminem do 15 grudnia br.

Konkursa. Rada szkolna okręgowa zamiejska we Lwowie rozpisała z terminem do 18 listopada konkurs na kilkanaście posad nauczycielskich. Urząd podatkowy w Kolbuszowej poszukuje dyetaryusza.

Honorowe obywatelstwo nadała ks. Adamowi Sapieże, prezesowi wystawy, Rada m. Bochni.

Członkiem Rady nadzorczej Towarzystwa wzajemnych ubezpieczeń z powiatów złoczowskiego, kamioneckiego i brodzkiego wybrany został dziś w Złoczowie p. Bolesław Wierzchleyski z Kabarowiec, długoletni czynny delegat tego Towarzystwa.

Raut na dochód Towarzystwa szkoły ludowej odbędzie się dnia 17 listopada rb. w sali kasyna miejskiego.

Dyrekcya wystawy przypomina wystawcom § 16 przepisów, który brzmi: Po zamknięciu wystawy ma każdy wystawca do dni czternastu przedmioty swe zabrać i pawilony uprzątnąć. Zapakowanie i odsyłka przedmiotów może na żądanie wystawcy i na koszt jego przez upoważnionego w tym celu ajenta wystawy być uskutecznioną. Przedmioty wystawowe, co do których w przeciągu czterech tygodni od zamknięcia wystawy nie nastąpi żadna ze strony wystawcy dyspozycya, zostaną po upływie terminowego upomnienia na rzecz funduszu wystawy sprzedane.

Stypendya z funduszów Towarzystwa Rodzina otrzymali na rok jeden po 60 zł: Kazimierz Iglicki, uczeń ślusarstwa w warsztatach kolejowych w Stryju, syn robotnika tych warsztatów; Michał Szaraniewicz, uczeń czwartej klasy gimnazyum w Stanisławowie, syn nauczyciela szkoły ludowej w Stańkowej powiat Kałusz; Maksymilian Brossmann, uczeń krawiectwa we Lwowie, syn wdowy, robotnicy fabryki tytoniu w Winnikach; Karol Dadletz, uczeń drugiej klasy realnej we Lwowie, syn krawca w Winnikach.

Zasiłki dla burs. Z funduszu w kwocie 4000 zł., uchwalonego przez Sejm na zasiłki dla burs, mieszczących ubogą młodzież szkolną polską i ruską, przyznał Wydział krajowy zgodnie z wnioskiem Rady szkolnej krajowej następujące subwencye:

Bursie polskiej im. Jakubowicza w Brzeżanach 300 zł., bursie ruskiej w Brzeżanach 100 zł., bursie polskiej im. Kopernika w Jarosławiu 250 zł., bursie polskiej w Przemyślu 300 zł., bursie ruskiej w Przemyślu 250 zł., bursie im. ks. Dymnickiego w Rzeszowie 200 zł., bursie gimnazyalnej w Samborze 300 zł., bursie polskiej w Stanisławowie 200 zł., bursie ruskiej w Stanisławowie 200 zł., bursie ruskiej w Tarnopolu 200 zł., Towarzystwu polskiej bursy nauczycielskiej w Tarnopolu 450 zł., bursie im. św. Kazimierza w Tarnowie 300 zł., bursie polskiej w Wadowicach 300 zł., bursie ruskiej św. Mikołaja we Lwowie 300 zł., bursie chrześcijańskiej w Brodach 150 zł., bursie polskiej w Kołomyi 200 złr.

Z dymem. W projekcie budżetowym przedłożonym Radzie państwa przez ministra Plenera preliminowano z monopolu tytotoniowego na rok 1895 88 i pół miliona złr. W r. 1888 dochód z monopolu tytoniowego wynosił 77 i pół miliona. Konsumcya tytoniu zatem ogromnie wzrasta.

Z Krakowa donoszą, iż dyrektorem tamecznej akademii sztuk pięknych zostanie mianowany pan Pochwalski, profesor akademii sztuk pięknych w Wiedniu. Artysta malarz p. Rodakowski, któremu proponowano przyjęcie obowiązków dyrektora krakowskiej akademii, z powodu podeszłego wieku odmówił tej propozycyi.

Pogłoska. Organ lwowskich moskalofilów *Hałyczanyn* doniósł, iż Rusini narodowcy mieli zamiar postawić kandydaturę dra Konstantego Lewickiego na posła do sejmu z okręgu zbarazkiego w miejsce śp. ks. Siczyńskiego, lecz że od tego zamiaru odstąpili po procesie, który dr. Lewicki miał w sprawie prawniczego słownika. *Diło* zaprzecza jednak stanowczo tej pogłosce i doniesienie *Hałyczanyna* nazywa moskalofilską intrygą.

Sympatyczne koncerty popołudniowe w „Sokole,“ które zjednały sobie we Lwowie taką popularność i na które zeszłego roku spieszyły takie tłumy publiczności, rozpoczynają się na nowo. W najbliższą niedzielę odbędzie się w sali „Sokoła“ koncert muzyki wojskowej 30 p. p. pod artystycznem kierownictwem ulubionego kapelmistrza p. Rolla. Początek o godz. 5 po południu.

Otwarcie ruchu na linii tramwaju elektrycznego od kawiarni wiedeńskiej do cerkwi św. Piotra i Pawła nastąpi we wtorek rano.

Posłem do Rady państwa z miasta Czerniowiec wybrany liberał dr. Rott. Kandydat stronnictwa rumuńskiego p. Mustatza pozostał w mniejszości.

Telegraf. Dnia 1 listopada otwartą zostanie w Niżankowicach stacya telegrafu.

Z Berlina donoszą, iż p. Kościelski w rozmowie z jednym z dziennikarzy niemieckich, oświadczył, iż przy dobrych chęciach, może nastąpić porozumienie między Polakami a Niemcami i że jest to tylko kwestyą czasu. Polacy sami powinni się do tego przyczynić, nie znaleźli jeszcze jednak dotąd po temu odpowiedniej drogi. P. Kościelski miał się dalej wyrazić, że Polacy nie pragną utworzenia z ks. Poznańskiego samoistnej prowincyi koronnej, gdyż nie chcą osłabiać państwa niemieckiego, nie żądają dla siebie odrębnego stanowiska, tylko pragną równouprawnienia.

Skąpstwo Bismarcka. Z okolicy Warcina piszą do „Westpr. Volksbl“: „Opowiadają tu, że żywienie pielgrzymów poznańskich i zachodnio-pruskich w Warcinie nie odbyło się na koszt księcia Bismarka. Komitety same zniewolone były o to się postarać i zebrać odpowiednią sumę pieniędzy drogą składek. Jeżeli to jest prawdą, to zniknie także dobra opinia o Bismarku“. Na to odpowiada „Westpr. Volksblatt“: „Korespondent mówi prawdę. Komitet poznańskiej pielgrzymki nie krył się wcale z tem, że na wyżywienie należy zapłacić 1 m. na osobę. Za tę markę otrzymał każdy szklankę grogu, parę ciepłych kiełbasek, chleb z masłem i szklankę piwa. Jeżeli dotąd kto przypuszczał, że Bismark swoich pielgrzymów częstował czem więcej prócz mowami politycznemi, „der kanste Buchholzen schlecht.“ Ekskanclerz robi nawet dobry interes na pielgrzymkach, gdyż sprzedażą napojów i jedzenia zajmuje się zarząd dóbr jego.

Nowy nokturn Szopena. Warszawski tygodnik *Echo muzyczne i teatralne* zamieszcza cenny zabytek kompozytorski Szopena. Jest to niewydany dotąd nokturn, posiadający wszystkie zalety talentu nieśmiertelnego mistrza. Nokturn ten, ujmujący w charakterystyczną całość kilka motywów ze znanych już pieśni i romansów szopenowskich, ofiarował mistrz siostrze p. Ludwice Jędrzejowiczowej. Z lewej strony rękopisu mieści się u góry napis ołówkiem skreślony przez Szopena „Dla siostry mej Ludwiki“. Utwór ten, odnaleziony przez muzyka warszawskiego p. Aleksandra Polińskiego wykonano już na koncercie w Warszawie.

Modne uczesania. Z Paryża donoszą nam: Fryzyerzy miejscowi postanowili utrzymać przez cały sezon 1894/5 modę karbowanych uczesań. Taki wyrok zadawalnia obie strony: damy, gdyż włosy falowane zdobią każdą twarzyczkę i — perukarzy, bo ta moda czyni klientki zależnemi od ich kunsztu. Uczesania greckie, odpowiednie dla główek kształtnych, nie wielkich, utrzymują się w dalszym ciągu, również jak i przypinane do takiego węzła loczki; jest to, że się tak wyrazimy, fryzura klasyczna, z mody nigdy nie wyjdzie. Piękniejszej być nie może, lecz dodajmy raz jeszcze: tylko dla pięknych główek, którym nadaje kształt greckiego biustu. W Paryżu włosy blond walczą o lepsze ze złoto-kasztanowatemi, a wyrugowały zupełnie odcienie czerwonawo-rude. Fałszywe włosy nie są wcale używane, damy poprzestają na własnych, a fryzyerzy wynagradzają sobie w inny sposób brak popytu na loczki, węzły i warkocze. Tylko w Anglii handel włosami fałszywemi utrzymuje się stale. Uczesania obniżyły się znacznie, modną fryzurą jest: węzeł, upięty na samym karku, z przodu falowane nioby. Grzywki wychodzą z użycia; osoby obdarzone czołem wyniosłem dobrze zrobią, nie stosując się do tej innowacyi.

Krzyż w Kossowie. Nad Kossowem panuje potężna góra, która usypując się, pokazuje miasteczku nagie żebra skaliste. Sejm zawotował na zalesienie tej góry przed kilku laty 800 zł. zasiłku z funduszu krajowego, lecz pogrążone w zacofaniu miasto nie podniosło tej darowizny, aby nie mieć kłopotu z robotami przy zalesieniu tej góry. Na szczycie jej wznosi ramiona krzyż prześlicznie zarysowując się na nieboskłonie w imponującej wysokości. Krzyż stoi jeszcze, ale wokoło niego usypuje się grunt w przepaść bezdenną; więc kto wie, jak długo on się tam utrzyma i jak długo zresztą pozwolą mu stać teraźniejsi gospodarze miasta, którzy pewnieby go chętnie ztamtąd usunęli.

Zmarli. Janina z Lechowiczów Kossowska, żona urzędnika kolei państwowych, umarła we Lwowie w 28 roku życia. — Ludwik Szolc, fabrykant, ojciec znanego podróżnika po Afryce Stefana Szolc Rogozińskiego i teść nowelistki p. Hajoty, umarł w .. aliszu.

Stan powietrza. T. o 8 rano + 7° R. w poł. + 9° R. Bar. 750. Podnosi się. Pogoda.

U fryzyera.

Fryzyer. Tę pomadę szczególnie mogę panu dobrodziejowi polecić, jako środek przeciw wypadaniu włosów.

Gość. Dobrze, ale dla czego pan jej sam nie używa, będąc łysym jak kolano.

Fryzyer. Robię to umyślnie w tym celu, aby przekonać innych, jak obrzydliwie się wygląda, nie używając mojej pomady!

Korespondencya Administracyi. *WPan Gołuchowski w Orchowicach.* Nadesłany 1 zł. wpisany został na poczet prenumeraty. W sprawach anonsów należy się udać do p. Plohna, właściciela Bióra Dzienników we Lwowie (ul. Karola Ludwika nr. 9), gdyż on wydzierżawił inseraty *Przeglądu.*

Odpowiedź Redakcyi. *Wbny ks. Haschke w Makowie.* Korespondencyi owej ogłosić nie możemy, gdyż narazilibyśmy siebie na proces.

Literatura i Sztuka.

Śpiewnik kościelny dla użytku młodzieży szkolnej. Część I. Ułożył Edmund Urbanek, nauczyciel we Lwowie. 1894. Nakładem Tow. pedagogicznego.

Pod tym tytułem opuścił w tych dniach prasę podręcznik do nauki śpiewu kościelnego, przeznaczony dla młodzieży szkolnej, a wydany nakładem Towarzystwa pedagogicznego i opatrzony aprobatą metropolitalnego Konsystorza lwowskiego. Z góry zaznaczyć muszę, że dostawszy do rąk wspomniany śpiewnik kościelny, szczerze się ucieszyłem i pomyślałem; Chwała Bogu! przecież raz młodzież nasza zacznie śpiewać z porządnie ułożonego śpiewnika, przecież raz znajdzie w nim nietylko wybór pieśni kościelnych, najpotrzebniejszych wśród nabożeństwa i najpiękniejszych, tak co do treści, jak i melodyi, ale nadto znajdzie w nim pieśni czyste, wolne od niepotrzebnych dodatków, karykaturalnych ozdobników, pieśni zaczerpnięte ze źródeł, jakiemi rozporządza nasza literatura kościelno-muzyczna; pieśni opracowane wzorowo wedle zasad muzyki, opatrzone znakami oddychania, ekspresyi muzycznej i t. p. Samo już imię Towarzystwa pedagogicznego, którego nakładem niedawno śpiewnik pana Edmunda Urbanka w handlu księgarskim się pojawił, imię Towarzystwa, które w ostatnich latach na polu wydawnictwa książek szkolnych nadzwyczajne uczyniło postępy, i tak dobrze społeczeństwu naszemu się zasłużyło, usposabiało mnie jak najprzychylniej dla książki, która w tysiącach egzemplarzy ma się rozejść między młodzieżą i być jej ochmistrzem w śpiewie kościelno-ludowym. Niestety! radość moja zamieniła się wkrótce w gorycz, której nie umiem inaczej określić, chyba słowami kolendy, którą szanowny autor śpiewnika umieścił wrzekomo jako pieśń kościelną na str. 16:

„A mazurek z swoim synem
Swiergąc siedzą za kominem
Ach! cierp, cierp, cierp, miły Panie,
Póki ten mróz nie ustanie,
Nie ustanie! (*sic!*)

Zaiste! mróz niechęci — że nie powiem, oburzenia, przejął mię do głębi, gdy przeglądając pieśń za pieśnią, śledząc poskracany tekst pieśni, wadliwy układ taktu, melodyj i dwugłosowego kontrapunktu, przypatrywać się musiałem wstrętnej karykaturze, jaką z cudownie pięknych naszych kościelno-ludowych pieśni autor śpiewnika stworzył! W całym śpiewniku nie ma ani jednej pieśni, którаby co do melodyi swej nie była zeszpecona błędnymi, niepotrzebnymi dodatkami, albo fatalnym podziałem taktu, albo bezmyślnem umieszczeniem znaków dynamicznych, fermat i t. p. Wprawdzie autor napisał wiele pieśni bez taktu, a prawie nad każdą pieśnią uwagę umieścił, że to melodya „ludowa“. Jakto? Czyżby ta uwaga miała być usprawiedliwieniem tych licznych błędów w pieśniach, umieszczonych w rzeczonym śpiewniku, błędów, które pieśniom naszym odbierają cały ich urok, wdzięk i potęgę? Czyżby pieśni błędnie przez lud śpiewane, pokaleczone, pokoszlawione i poprzekręcane, miały być wzorem dla nauki śpiewu kościelnego w naszych szkołach? Czyż tylko w pieśniach światowych należy mieć wzgląd na najistotniejsze reguły muzyczne, dotyczące form muzycznych, taktu, melodyi, harmonii i kontrapunktu, a pieśń kościelna może się bez nich obejść? Czyżby tak błędnie napisany śpiewnik kościelny dla użytku młodzieży szkolnej, miał być objawem postępu na polu reformy muzyki kościelnej, którą tak gorąco zajął się przed rokiem wiec katolicki w Krakowie?

Niepodobna, aby kto dziś jeszcze w obec ogólnej potrzeby naprawienia muzyki kościelnej miał być tak krótkowidzącym — chyba sam tylko szanowny autor śpiewnika, o którym mówimy, a który widocznie zapomniał o przymiotach, jakie posiadać winien dobry śpiewnik dla młodzieży szkolnej przeznaczony.

Komuby ten nasz sąd wydawał się za surowym, niech się przypatrzy i osądzi sam przynajmniej następujące pieśni: „Spaście nam“ str. 2, „Jezusa narodzonego“ str. 7, „Wesoły nam“ str. 30, „Święty, święty“ str. 37, „Twoja cześć“ str. 43, „Gwiazdo morza“ str. 57, „Witaj święta“ str. 65, „Za matką się udaj“ str. 67, „Zmarły człowiecze“ str. 94 i „Salve regina“ str. 96. Układ tych pieśni pod względem podziału taktu, prozodyi, melodyi i harmonii jest tak nieszczęśliwy, że ktoby je wykonał według intencyi autora, dopuściłby się publicznego zgorszenia, wystawiając na śmiech i szyderstwo nabożeństwo katolickie. Gdyby tak młodzież szkolna śpiewać miała na cześć i chwałę Boga, niech raczej nie śpiewa nigdy! Skromne i pobożne zachowanie się młodzieży podczas nabożeństwa, gorąca modlitwa, choć cicha, wszystkich buduje, ale pieśń kościelna w złym układzie wykonana, sprawia na obecnych najprzykrzejsze wrażenie, a o przewodnikach tej młodzieży, zwłaszcza o nauczycielach śpiewu wydaje najniekorzystniejsze świadectwo!

Dla tego wyrażając żal nasz, że ten śpiewniczek, który mógł i powinien być ozdobą wydawnictw Tow. pedagogicznego, stał się poronionym płodem, prosimy usilnie szanownego autora, by co prędzej przygotował nowe, poprawne wydanie swej pracy, by dalsze części śpiewnika oparł na istniejących źródłach, mianowicie na śpiewnikach ś. p. ks. Mioduszewskiego, Klonowskiego, ś. p. ks. Mazurowskiego lub ks. Dr. Surzyńskiego, by dla dobra młodzieży i całego kraju naszego, poddał swą pracę krytyce fachowych muzyków, których przecież nie brak we Lwowie i Krakowie, by raczył zapytać się o zdanie księży katechetów, którzy z praktyki najlepiej wiedzą, które pieśni podczas nabożeństwa najbardziej dla młodzieży naszej są potrzebne — a wtedy praca jego będzie mile i wdzięcznie od wszystkich przyjęta i przyniesie dla całego kraju pożądane owoce.

W Tarnowie, dnia 23 października 1894.
Ks. Fr. Walczyński, prof. i katech. gimn.

Część ekonomiczna.

Wiedeń 24 października.

(Z.) Pomimo zbliżającego się ultimo forsuje nasza giełda wszystkimi możliwymi środkami haussę,— berlińska jej koleżanka zaś pracuje wręcz w przeciwnym kierunku, a nie mogąc przełamać odporności naszego targu i obniżyć kursu austryackich walorów, atakuje zawzięcie własne papiery, osobliwie akcye banków berlińskich. Skutecznem hasłem do zniżki jest dla kontrminy berlińskiej obecnie ponowny projekt reformy giełdowej, który ma przyjść niebawem pod obrady parlamentu. Obiega pogłoska, że jednym z głównych punktów tej reformy będzie zaprowadzenie przymusu rejestrowego, t. z. że interesa terminowe na giełdzie mogą zawierać tylko te firmy i te osoby, które wpisane zostaną do urzędowego rejestru giełdowego. Owóż zachodzi obawa, że najlepsza klientela, t. j. prywatne osoby, przez sam wstyd nie zechcą zapisywać się do publicznego rejestru jako gracze giełdowi i że przez to czynność giełdy będzie znacznie zredukowana. Nasi spekulanci tryumfują obecnie, gdyż ataki berlińskie nie krzyżują im ich kombinacyi zwyżkowych, to też i dziś podniósł się kurs akcyi bankowych, kolejowych i wielu walorów przemysłowych.

Ostatnie notowania:

Kredyty austr. 373.—, węgierskie 468·75, Anglobanki 171·50, Uniony 282·50, Bankvereiny 145·90, Länderbanki 267·30, Ludwiki 217·50, Czerniowieckie 286·75, Elbethale 275·75, Renta papierowa 99·30, srebrna 99·25, austryacka złota 123·60 4% austr. renta wal. kor. 98·25, węgierska złota 122·15 4% węgierska renta wal. kor. 96·65, dukat 5·89—, 20-frankówka 9·90—, marki 12·20—, ruble 1·33½.

Telegramy „Przeglądu“.

Wiedeń 26 października. Na wczorajszem posiedzeniu Koła polskiego zażądał p. Wł. Gniewosz, aby Koło domagało się w osobnym wniosku zmiany niedogodnego dla rolników rozporządzenia o wydawaniu soli bydlęcej. Na wniosek p. Wielowieyskiego uchwalono, ażeby prezydyum Koła porozumiało się w tej sprawie prywatnie z ministrem skarbu. P. Kraiński przedstawił smutny stan rolnictwa i żądał, aby Koło przeprowadziło szczegółową dyskusyę nad przyczynami upadku rolnictwa.

Następnie p. Wielowieyski interpelował obecnego na posiedzeniu ministra Jaworskiego, w jakiem stadyum znajduje się sprawa Morskiego Oka, przyczem wskazał na rozgoryczenie, jakie panuje między góralami z powodu zbudowania przez Węgrów schroniska na spornem terytoryum.

Minister Jaworski odpowiedział, że geometrzy austryaccy i węgierscy ukończyli już swe prace pomiarowe i akta nadeszły już do obu ministerstw. Obaj referenci wezmą dłuższy urlop, aby zbadać gruntownie cały spór, a w lutym 1895 zjadą się na terytoryum spornem i przedstawią sobie wzajemnie rezultaty swoich badań, poczem nastąpi albo porozumienie się obu ministerstw albo też apelacya do jakiegoś sądu rozjemczego.

P. Rutowski żalił się, że ministerstwo spraw wewnętrznych traktuje tę sprawę zbyt obojętnie. Sprawa ta jest tak dokładnie znana, że dalsze badania są zbyteczne. W końcu prosił mówca ministra Jaworskiego, aby jak dotychczas, tak i nadal opiekował się tą sprawą.

P. Weigel wykazywał, że ze stanowiska prawnego powinni Węgrzy udawać się w tej sprawie do naszych sądów, gdyż my jesteśmy w posiadaniu.

P. Sokołowski wykazywał, że głównym powodem rozgoryczenia górali jest niewłaściwe zachowanie się władz austryackich w obec Węgrów. Oto bezkarnie znieważyli Węgrzy sędziego z Galicyi, oficyalistę hr. Zamoyskiego fantowali na gruncie zakopańskim, leśnego pobito i wtrącono do więzienia w Kesmarku, a władze austryackie na to milczą. Nie można się więc dziwić temu, że górale uciekają się do samopomocy. Mówca prosi więc ministra Jaworskiego, aby wpłynął na rząd, iżby takie gwałty energicznie odpierano.

Minister Jaworski zapewnił, iż uwzględni wszystkie uwagi, gdyż sprawa leży mu bardzo na sercu.

P. Byk żalił się na to, że rząd lokując swoje fundusze w rozmaitych walorach, z reguły pomija 4%-we galicyjskie listy zastawne, czem przynosi wielką szkodę nie tylko poważnym instytucyom hipotecznym w kraju, ale pośrednio także całemu kredytowi hypotecznemu, a zatem zarówno rolnictwu jak i miastom, w których skutkiem tego ruch budowlany nie może się należycie rozwinąć. Skutkiem tego przerwano także zbawienny prąd dążący do obniżenia stopy procentowej. Rząd może łatwo pomódz w tym względzie. N. p. pocztowe kasy oszczędności mające 75 milionów funduszów, mogłyby część ich lokować w listach galicyjskich, tymczasem zakupiły one tych listów dotychczas wszystkiego za 11.000 zł. Można także w walorach galicyjskich lokować część zapasów kasowych, funduszów emerytalnych, kolei państwowych itp. Mówca oświadcza, że poruszy tę sprawę w toku debaty budżetowej, a na razie stawia wniosek, aby komisya parlamentarna Koła przedsięwzięła coś w tej sprawie u ministrów handlu i finansów.

Minister Jaworski prosi p. Byka, ażeby wypracował w tej sprawie memoryał dla komisyi parlamentarnej, poczem Koło poleci jej, aby razem z p. Bykiem zajęła się tą sprawą.

P. Wielowieyski prosił prezydyum, aby zwołało programowe posiedzenie Koła, by umilkły zarzuty, iż program Koła jest niejasny.

Następnie dyskutowało Koło dalej nad projektem nowej ustawy karnej.

Peszt 26 października. Ustawy o ślubach cywilnych tudzież o religii dzieci z małżeństw mięszanych przedłożone dziś zostaną do sankcyi monarszej.

Petersburg 26 października. Z Liwadyi donoszą, że carewicz i księżniczka Alicya byli wczoraj na nabożeństwie żałobnem za duszę wielkiego księcia Konstantego Mikołajewicza, poczem odbyli wycieczkę do wodospadu Uczusu.

Berlin 26 października. Ostatnie depesze, jakie nadeszły do tutejszej ambasady rosyjskiej, donoszą, że w stanie zdrowia cara nie zaszła żadna zmiana.

Brest 26 października. Na parowcu „Arethuse“ pękł kocioł parowy, skutkiem czego wybuchł pożar na okręcie, wszelako stłumiono go rychło. Sześć osób zginęło, a dwadzieścia jest rannych.

Petersburg 26 października. Cholera wygasła już w Petersburgu, w Warszawie i w dziesięciu innych guberniach.

Wiedeń 26 października. Wczoraj odbyła się znów kilkogodzinna konferencya nad reformą wyborczą, w której wzięli udział członkowie gabinetu i mężowie zaufania stronnictw wchodzących w skład koalicyi. Konferencya ta zarówno jak wszystkie poprzednie miała charakter ściśle poufny, to też wszystkie doniesienia, jakie ostatnimi dniami pojawiły się w dziennikach o rezultacie dotychczasowych narad nad tą sprawą, są tylko dowolną kombinacyą nie mającą żadnej podstawy. Za kilka dni zbierze się konferencya ponownie.

Wiedeń 26 października. Król serbski odjechał wczoraj do Belgradu.

Petersburg 26 października. Biuletyn o stanie zdrowia cara, wydany wczoraj o godzinie 11 przed południem opiewa: „W nocy ze środy na czwartek spał car mało, a wczoraj wstał o zwykłej godzinie. Apetyt miał taki sam jak we środę, a puchlina nóg nie zwiększyła się“.

Petersburg 26 października. Dotychczas nie zrobiono carowi żadnej operacyi celem zmniejszenia opuchlin nóg. Wczoraj krążyły tu o stanie zdrowia cara bardzo niepokojące wieści. W drukarni *Gońca urzędowego* przygotowano już 200.000 egzemplarzy manifestu, który rozrzucony ma być w dniu ślubu carewicza.

Petersburg 26 października. Biuletyn o stanie cara, wydany wczoraj o godzinie 8 wieczorem opiewa: „W ciągu dnia nie miał car ani senności, ani kurczów. Apetyt zadowalniający. Opuchliny nie zwiększyły się“.

Nadesłane.

Rubryka ta nie pochodzi od Redakcyi, nie bierze też ona na siebie za nią żadnej odpowiedzialności.

Lwów dnia 26 października. (Z Izby handlowej).

Akcye za sztukę: Kolej gal. Karola Ludwika 200 zł. m. k. 216·— do 219·—. Kolej Lwow.-Czern. Jassy po 200 zł. w. 281.— do 289.—. Banku hipotecznego po 200 zł. w. a. —·— do 426·—

Listy zastawne za 100 zł. Banku hipot. gal. 5% losow. w 40 lat. 101·10 do 101·80, 5% z 10% prem. 110·— do 110·70, 4½% los. w 50 lat. 100·— do 100·70. Banku krajowego 4½% los. w 51 lat. 100·— do 100·72. Banku krajowego 4% los. w 57 lat. 96·50 do 97.30. Tow. kredyt. gal. ziemsk. 5% (L. emisya) 97·50 do 98·2·4 los. w 41½ los. 97.40 do 98·10, 4% los. w 56 latach 96·50 do 97·20. 4½% los. w 63 lat. —·— do —·—.

Obligi za 100 zł. Galic. funduszu propinacyjnego 4% 96.70 do 97.40. Bukow. funduszu propinacyjnego 101·70 do —.— Kom. banku krajowego 5% w. a. F. 102·— do 102·70, Pożyczki krajowej 6% 105·— do —·— 4½% 100·— do 100·70 4% z roku 1892 95·80 do 96·50 4% z roku 1893 95·80 do 96·50.

Monety. Dukat cesarski 5·85 do 5·95. Napoleon dor 9·84 do 9·94. Półimperyał 10·15 do —.—. Rubel rosyjski srebrny czy papierowy 1.33 — do 1.35 ·— 100 marek niemieckich 60·60 do 61·30

Wiedeń dnia 26 października, (godz. 11 w południe) Kredyty 373·25 kred. węgierskie —·—, Anglob. 172·25, Uniony —.—, Bankvereiny —.—, Länderbanki 267.30, Akcye tytoniowe 228.50, Staatsbahny 377·15, Lombardy (z kap.) 106·50 Elbethale — Renta papierowa —.—, Renta węg. 4% kor. —.— Renta węg. złota 4% —.—, Alpiny —.—, Marki 61·07. Losy tur.

RUCH POCIĄGÓW.

Czas środkowo-europejski, wcześniejszy od lwowskiego o 36 minut.

Odchodzą do:	Pociągi pospieszne		osobowe		
Krakowa, Wiednia, Wrocławia, Berlina	2·24	**10·10**	**4·50**	10·35	**6·55**
Warszawy	—	**10·10**	**4·50**	—	**6·55**
Chabówki (Zakopanego) via Tarnów lub Rzeszów	—	**10·10**	—	—	—
Chabówki przez Rzeszów lub Przemyśl	—	—	—	10.35	—
Chabówki przez Stryj	—	—	9·50	**7·10**	—
Muszyny-Krynicy, Żegiestowa przez Tarnów lub Rzeszów	—	**10·10**	—	—	—
Muszyny-Krynicy, Żeg. przez Tarnów	—	—	**4·50**	—	—
M.-Kr. Żeg. przez Stryj	—	—	—	**7·10**	—
Mezö-Lab., Szczawnego Kulasznego via Przemyśl	—	—	—	—	**6·55**
Nadbrzezia i Tarnobrz.	—	**10·10**	**4·50**	—	—
Podw. i Brod. z dw. gł.	6.08	2·44	9·41	**10·20**	—
„ „ z Podz.	6·22	2·36	10·04	**10·47**	—
Suczawy	6·15	—	10·15	2·55	**10·30**
Czortkowa przez Halicz	—	—	—	2·55	—
Husiatyna przez Halicz	6·15	—	—	—	**10·30**
Słobody rung. Kopalni	—	—	10·15	—	**10·30**
Nowosielicy	6·15	—	—	—	**10·30**
Berhometu, Czudyna	6·15	—	—	—	—
Radowiec	6·15	—	10.15	—	**10·30**
Kimpolungu	6·15	—	—	2·55	—
Sokala	—	—	9·20	**6·45**	—
Bełzca	—	—	9·20	—	—
Borysławia przez Stryj	—	—	**5·40**	9·50	—
Ławocznego, Munkacza Szereucz Miskolcz, Peszt i Chyrowa przez Stryj	—	—	**5·40**	—	**7·10**
Stanisławowa, Doliny, Bolechowa przez Stryj	—	—	—	9·50	**7·10**
Skolego i Chyr. via Stryj	—	—	—	9·50	—
Stryja i Skolego	—	—	—	3·05	—
Przychodzą z:					
Krakowa (Berlina, Wrocławia, Wiednia)	2·32	5·25	9·00	**6·10**	**9·00**
Warszawy	—	5·25	9·00	—	**9·00**
Chabówki (Zakop.) przez Przem. Rzesz. lub Tarn.	2·32	—	—	—	—
Chabówki przez Rzeszów lub Tarnów	—	5·25	—	—	—
Chabówki przez Stryj	—	—	8·34	—	—
Muszyny-Krynicy, Żegiestowa przez Tarnów	—	—	—	—	**9·00**
Musz.-Kryn. Żeg. przez Rzeszów lub Tarnów	—	5·25	—	—	—
Mezö-Lab., Szczawnego-Kulesz. przez Przemyśl	—	—	9·00	—	—
Nadbrzezia i Tarnobrz.	—	—	—	**6·10**	—
Podw. i Brodów dw. gł.	2·12	**9·29**	9·10	**5·45**	—
Podw. i Brodów Podz.	1·58	**9·13**	8·45	5·19	—
Suczawy	**9·40**	—	7·37	12·27	**6·35**
Kimpolungu	**9·40**	—	7.37	—	—
Radowiec	**9·40**	—	7·37	—	**6·35**
Berhometu i Czudyna	**9·40**	—	—	—	—
Nowosielicy	**9·40**	—	7.37	—	—
Słobody rung. Kopalni	**9·40**	—	—	—	**6·35**
Husiatyna przez Halicz	**9·40**	—	7.37	—	—
Czortkowa przez Halicz	—	—	—	12·27	—
Borysławia przez Stryj	—	—	2·02	**12·10**	—
Bełzca	—	—	—	4·45	—
Sokala	—	—	7·48	4·45	—
Ławocznego (Pesztu, Misk., Sz. Munk.) Chyr. i Stanisł. przez Stryj	—	—	8·34	**12·10**	—
Stryja i Skolego	—	—	**8·47**	—	—
Skolego, Chyrowa i Stanisławowa przez Stryj	—	—	2·02	—	—

Uwaga: Godziny drukowane grubemi liczbami oznaczają porę nocną od 6 wieczorem do godz. 5 m. 59 rano.

W biórze informacyjnem c. k. austr. kolei państwowych we Lwowie, ul. Trzeciego Maja l. 3 (Hotel Imperial) jest sprzedaż biletów strefowych, okrężnych, dowolnie zestawialnych, zeszytów do jazdy, taryf i rozkładów jazdy w formacie kieszonkowym. Informacye w sprawach taryfowych i przewozowych.

52)

VERA

przez *Florencyę Marryatt.*

(Ciąg dalszy).

Tymczasem ciekawe widowisko uliczne zwróciło wkrótce całą uwagę obu stron. Tłum, napływający zewsząd, stawał się z każdą chwilą bardziej zwartym. Ludzie, przybrani w ohydne maski, naśladujące psy, małpy i dyabłów, wykrzykiwali głośno pod oknami; wiązanki kwiatów, wyrzucane w górę, spadały u stóp pań, a garściami rozrzucane z przejeżdżających powozów cukierki wielki popłoch wywoływały między bandą uliczników.

Całe przedstawienie do złudzenia naśladowało włoskie karnawałowe „Corso". Verę mimowoli zaciekawił ten urozmaicony a tak nowy dla niej obraz. Nie mogła powstrzymać śmiechu na widok potwornego tygrysa o ziejącej paszczy i zadartym ogonie, poruszanym za pomocą sznurka. Grupa złożona z ośmieszonych Anglików, osdacznie ubranych, wywołała ogólną wesołość; lecz obok karykatur było też wiele prawdziwie pięknych i malowniczych kostyumów. Wozy, przystrojone flagami i kwiatami, przesuwały się wśród tłumu masek, wiozące grupy, przedstawiające rozmaite sceny historyczne i alegoryczne, a długi szereg rozmaitych karet snuł się za niemi. Mężczyźni, niektórzy w maskach, niektórzy bez nich, jechali, siejąc dokoła kwiaty i „confetti", a gawiedź uliczna, krzycząc i śpiewając, ciągnęła za nimi hałaśliwym orszakiem.

Vera patrzyła zrazu ze zdziwieniem, potem z zajęciem, a wkońcu z prawdziwą rozkoszą, bo wrodzona jej wesołość wzięła nareszcie górę nad smutkiem. Przechylona przez poręcz krzesła swojej pani, zaróżowiona, uśmiechnięta, tonęła w barwnym tłumie, gdy naraz jakaś przeszkoda zatamowała powolny pochód karet, tak, iż wszyscy prawie siedzący wewnątrz podnieśli się jednocześnie, aby zobaczyć, co się stało. Wśród tego chwilowego zamięszania wspaniały bukiet cieplarnianych róż, któremu towarzyszył rzucony w powietrze pocałunek, potoczył się u stóp pani Conway Jones, a ten, który go rzucił z powozu zajmowanego przez trzech mężczyzn, uchylił na chwilę kapelusza, aby przesunąć chustką po rozgrzanem czole. Był to ruch przelotny tylko, ale Vera, której oczy utkwione były przypadkiem w tę zagadkową postać, błyskawicznem spojrzeniem poznała Gordona Romilly. W gwałtownem, niepohamowanem uniesieniu radości rzuciła się naprzód, wołając:

— Gordon, Gordon! je suis ici!

I jak bezprzytomna wybiegła z balkonu i poskoczyła na ulicę.

Tłum ścisnął ją zewsząd. Zdyszana, ubezwładniona, usiłowała przemocą utorować sobie drogę wśród niego, ale było to niełatwą rzeczą. Jakiś napół pijany człowiek potrącił ją szorstko, kwieciarka koszem kwiatów zasłoniła jej oczy, a gromada krzyczących uliczników zatamowała drogę. Tymczasem powozy ruszyły dalej. Raz czy dwa z ochrypłej jej piersi wyrwało się jeszcze namiętne, rozpaczliwe wołanie ukochanego imienia, zagłuszone uliczną wrzawą; z załamanemi rękoma daremnie błagała bezmyślną rozpasaną gawiedź, aby ją przepuściła naprzód, ale odpowiadano jej tylko śmiechem i żartami. Jeszcze raz zebrawszy ostatki sił, próbowała przecisnąć się ku środkowi ulicy, ale odepchnięto ją brutalnie. Naraz usłyszała tuż za sobą głos pana Conway Jones:

— Panno Weroniko, co to jest? — zapytał.— Dlaczego odbiegłaś twojej pani? Wracaj zaraz. To nie jest stosowne miejsce dla ciebie.

— O, panie! puść mnie, proszę! — zaklinała go ze łzami. — Pozwól mi dogonić go. On nie wie, że ja tu jestem... nic domyśla się niczego. Puść mnie, bo mi serce pęknie z żalu.

— Nie rozumiem, o kim mówisz — odparł pan Conway Jones — ale to jedno wiem, że nie możesz tu dłużej pozostać, bo ten motłoch nie zna granic, ani miary i gotów cię znieważyć. Chodź natychmiast.

Mówił tonem rozkazującym i wziąwszy ją za rękę, przemocą wprowadził napowrót do domu. Gdy biernie posłuszna szła za nim po wschodach wiodących na piętro, ogarnęło ją straszne zwątpienie, bo pomyślała sobie, że Bóg sam, któremu tak bezwzględnie zaufała, musi być przeciw niej, kiedy dozwolił, aby taka błaha przeszkoda rozdzieliła ją znowu z jej Gordonem. Zdawało jej się, że serce, to biedne, znękane jej serce, które przeszło już tyle moralnych katuszy, wyczerpane bezowocną walką, ostatkiem sił uderza w jej piersi, a gdy blada i odrętwiała weszła do salonu, a pani Conway Jones, zgorszona jej niewłaściwem postępowaniem, otwierała usta, aby ją ostro zganić, nogi zachwiały się pod nią i jak martwa upadła na dywan. Wtedy wszystkie obecne panie zaniechały pytań i ciekawych komentarzy i rzuciły się ku niej, aby ją ratować.

— Biedne dziecko! Pewnie zobaczyła swego kochanka... — rzekła litościwie jedna ze starszych kobiet, rozcierając jej zimne jak lód dłonie.

— Ależ to być nie może — upewniała zakłopotana pani Conway Jones. — Ona tu nie zna nikogo.

— Dla kobiety nie ma nic niepodobnego — zawyrokowała wesoła młoda Belgijka. — To jakaś sprawa sercowa, wierzaj mi pani. Wszak słyszałaś jak krzyknęła?

Ale pani Conway Jones obstawała wciąż przy swojem, a gdy po kilku minutach Vera, której silne sole dano do wąchania, otworzyła nawpół błędne i wystraszone oczy, spytała jej:

— No i cóż... czy ci już lepiej?

— Czy ja byłam chora? — spytała Vera, usiłując podnieść się o własnych siłach.

Naraz pamięć jej wróciła wraz z przytomnością i przyłożywszy rękę do skroni, szepnęła rozpaczliwie:

— O mój Boże!...

— Już widzę, żeś zupełnie przyszła do siebie — badała ją pani zaciekawiona. — Zobaczyłaś na ulicy coś, co ci sprawiło silne wstrząśnienie, a może ci się wydało, że poznałaś kogoś znajomego? Czy tak? Myślałam, że nie znasz nikogo w Brüssenburgu i że rodzina twoja mieszka gdzieś na prowincyi. Te panie musiały pomyśleć, żeś zmysły postradała, gdyś tak wybiegła bez opamiętania na ulicę. Kto to robi takie rzeczy!

— Przepraszam panie... zapomniałam się — pokornie tłómaczyła się Vera, spoglądając na pochylone ku niej obce twarze. I przypomniawszy sobie, czyje to imię z głębin duszy wybiegło na jej usta w chwili, kiedy zapomniała o świecie całym, zarumieniła się gwałtownie i dodała: — Zobaczyłam kogoś, co mi przypomniał dawnego przyjaciela. Oto i wszystko. Bardzo mi przykro, że niechcący narobiłam państwu tyle kłopotu.

— Możecyś chciała powrócić do domu? — spytała pani Conway Jones.

— Bardzobym rada, jeżeli pani może obyć się bezemnie — odparła.

Sprowadzono więc dorożkę i odesłano ją do domu. Tu ochłonąwszy w samotności z pierwszego wrażenia, Vera przyszła do przekonania, że wypadek, który tylko co się zdarzył, zaliczyć mogła do pomyślnych, a to przelotne widzenie twarzy Gordona Romilly było dla niej nowym bodźcem, aby nie ustawała w energii i zabiegliwości, dopóki nie osiągnie upragnionego celu. Od tej chwili nie zaznała spoczynku we dnie i w nocy, aż do dnia, kiedy życzeniu jej nareszcie stało się zadość.

Wszystkie wpół żartobliwe, wpół poważne pytania swojej pani w tym przedmiocie zbywała niezmienną odpowiedzią, że dostrzegła w tłumie twarz, która jej przypomniała dawnego przyjaciela, a na morały, iż była za młodą jeszcze, aby myśleć o kochanku, odpowiadała milczeniem. Państwo jej tak zajęci byli oddawaniem wizyt i zawieraniem nowych stosunków i znajomości, że Vera, pozostawiona samej sobie przez większą część dnia, miała zupełną swobodę rozporządzania czasem swoim i osobą. Błądząc całemi godzinami po ulicach w nadziei ponownego, przypadkowego spotkania się z Gordonem, nie dawała się zrazić żadnem niepowodzeniem. Ośmieliła się wymówić raz jego imię przed służbą miejscową i zapytać o niego w jednym, czy dwóch magazynach, ale nigdzie nie zdołała zasięgnąć żadnych informacyi. Miała ciągle w pamięci ostatnie słowa ojca Józefa, który jej przykazał związek swój małżeński trzymać w głębokiej tajemnicy przed światem. Jeżeli ten, którego poczytywała za świętego i nieomylnego, a zarazem za najrozumniejszego człowieka na ziemi, tak silny nacisk położył na to, więc musiała być jakaś ważna przyczyna potemu.

Gordon był dla niej ideałem wszystkich zalet serca i duszy; nie mogła zgoła pojąć jego postępowania, ale w prostocie swojej wierzyła mocno i niezachwianie, że on to wszystko jej wyjaśni; więc marzyła już tylko o tem, aby co prędzej zobaczyć się z nim i upewnić go, że dochowała mu tajemnicy. Tymczasem ten, do którego rwała się cała jej stęskniona dusza, w wesołem towarzystwie zakończywszy karnawał, wyjechał na cały tydzień do Paryża, a biedna dziewczyna, która go kochała tak wiernie, dzień za dniem cierpliwie przebiegała w różnych kierunkach ulice Brüssenburga, szukając go daremnie.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Odpowiedzialny redaktor: Ludwik Masłowski

Papier z fabryki Braci Fijałkowskich w Białej.

Z drukarni nar. W. Manieckiego. — Zarządca W. Hodak.